Nr. 13 (1057). Warszawa, dnia 17 (30) Marca 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

PĘKAJĄCE PRZYMIERZE.

Kiedy przed miesiącem tworzył się gabinet Zanardellego, twórca jego, a obecnie przewodnik, miał nieco kłopotu z upatrzonym na ministra spraw zagranicznych Prinettim. Polityk ten o niewielkim blasku, ale podobno zdolny, miał na sobie skazę: w rozmowie z posłem bawarskim na krótko przed kandydaturą ministeryalną był szczerym, powiedział, że Włochy niewielki mają interes w przymierzu potrójnem. Oczywiście, skazę trzeba było czemprędzej zasłonić: Prinetti jeszcze ministrem zaprzysiężonym nie był, kiedy już się poglądu swego wyparł i robiąc z kozła barana, zapewnił, że dochowanie przymierza z Niemcami uważa za obowiązek patryotyczny. Teraz już mógł do gabinetu wejść, nie ściągając na Zanardellego i na samego króla niechęci Niemiec. Zdawało się, że to zaprzaństwo ma jakiś logicznie usprawiedliwiony cel i że logika nakaże gabinetowi iść dalej, a przynajmniej stać w barwach przyjaźni potrójnej, odwracając się od Francyi, wystrzegając się nawet wszelkich względem niej aktów strzelistych. Stało się co innego: sam już teraz Zanardelli strzałami miłosnemi w tę stronę osłabił hypotezę wytrwania Włoch w przymierzu z Niemcami i Austryą.

New York Herald wydania paryskiego w tym tygodniu już ogłosił rozmowę swego posła-wywiadowcy z prezesem gabinetu. Ciekawe jest co prezes powiedział. Włochy uszanują zobowiązania zaciągnięte, a nie rozwiązane jeszcze przez czas. uszanują i umowy handlowe i przymierz. potrójne. Na przyszłość, zanim zawrą umowę lub wejdą w przymierze, dobrze się pierwej namyślą. Gabinet będzie musiał rozważać i jedne i drugie same w sobie i we wzajemnym na siebie wpływie; o tem bowiem wątpić mu nie wolno, że umowy handlowe muszą wpływać i na stosunki polityczne. Przymierza polityczne Włoch upływają wcześniej, niż handlowe; ale gabinet zawczasu będzie wiedział, co począć zarówno z jednemi jak z drugiemi, gdy terminа ich się zbliżą. Gdyby przymierza polityczne zostały przedłużone, jedynym ich celom będzie utrzymanie pokoju. Przez takie ich ograniczenie uniknie się podejrzeń o nieprzyjaźń ku Francyi, które, niestety, nieraz już wywoływała polityka przymierzowa. Każdy Włoch ma obowiązek przyczyniać się do rozpraszania takich podejrzeń. Dla Francyi Zanardelli ma tylko gorące sympatye. Bliskie odwiedziny floty włoskiej w Tulonie dadzą rękojmię, czy też będą objawem, takiego usposobienia Włoch dla Francuzów. Skończył.

W Berlinie wywarło to zwierzenie ministeryalne wrażenie ujemne. Ponieważ tkanką łączną mowy, spajającą powyższe myśli przewodnie polityki zagranicznej, było położenie ekonomiczne Włoch, czyli ich ubóstwo i niedola, organ kanclerski śpieszy z zapewnieniem, że uczestnictwo Włoch w przymierzu potrójnem wcale się do nich nie przyczyniło: żadnemu bowiem sprzymierzeńcowi przyjaźń potrójna nie nakłada obowiązku pewnego *minimum* armii czy marynarki, a więc i wydatków wojennych: tego rodzaju zobowiązań Włochy wobec trójprzymierza nie miały. — Nie jest to jeszcze *die schärfere Tonart*, ale jest już ton urazy. Najpierw, Włochy pozwalają sobie na namysł: iść czy nie iść; a potem, uśmiechają się nie do Niemiec, ale do Francyi. Rzeczpospolita wprawdzie sama w pułapkę przymierza weszła tak szczęśliwie, że Niemcy na tem wygrali zapomnienie o Alzacyi; ale zawsze kto z Francyą, ten przeciwko Niemcom — nie dziś, to jutro, nie w wielkiej polityce, to w małej, nie w Europie, to na rozdrapywanych kontynentach globu. Pomimo całego psychologicznego przewrotu w narodzie francuskim, pomimo przymierzy i współdziałań w Chinach, pomimo wspólnictwa w napaściach i zaborach, jeszcze pamięć o strasznym roku zbyt pali, aby porastający coraz bardziej w kudły brytana der deutsche Michel mógł nie jeżyć się na widok Francuza, gdy go Włoch do serca ma przycisnąć.

Kogoby się wyrzekły Włochy, gdyby spełniły swą groźbę zbliżenia się do Francyi i z manifestacyi uczyniły zadatek poważnego już pożycia pod jednym dachem — wspólnego międzynarodowego schroniska? Czy Niemiec? Wcale nie. Może tylko w związku celowym, w stosunkach ekonomicznego wytwórstwa i wymiany handlowej nieco-by się od nich odchyliły; ale nie zerwałyby węzłów politycznych. Co im może dać Francya? Panowanie świata romańskiego, a przynajmniej wyodrębnienie się ludów na podłożu cywilizacyi rzymskiej wyrosłych, z zapewnieniem najpierwszemu z nich genetycznie stanowiska, jakiego w dzisiejszym kadrylu z Niemcami i Austryą nie znajdzie nigdy? Takich górnolotnych marzeń Włoch nie ma. Dziejotwórcze poczucie pokrewieństwa romańskiego — jest w tej „rasie łacińskiej" niesłychanie słabem, a wogóle wszelka górnolotność, wszelkie marzenie sprzeciwia się stylowi dzisiejszej polityki. Francya nie miałaby co dać Włochom, gdyby one nawet chciały od niej dostać początki — nowej przyszłości; ale za to Włochy mają dużo do wzięcia, gdy trzymając się teraźniejszości, na starą modłę urabianej, zechcą o interesach swoich pomyśleć. Nicea i Sabaudya są lepszemi rzeczywistościami od rzeczywistości przyszłego ukształtowania się świata romańskiego — wskrzeszenia-go, powołania do życia. Tę lepszą rzeczywistość może mieć polityka włoska tylko dzięki Niemcom, jak ją miała już w latach 1866 i 1870: z Niemcami tedy i teraz trzymać będzie i mimo uśmiechów do Francyi żelaznej prawicy niemieckiej nie puści. Tylko przymierze potrójne przepadnie. Austrya pozostanie samotną, tj. holowaną przez Niemcy. I tu również Tryest, a może i Dalmacya — tylko przy niemieckiej pomocy pochwycić się dadzą: to ideał.

WIDMO DWU WOJEN.

IV.

Wysłuchaliśmy dyskusyi pomiędzy zwolennikami ceł zbożowych a ludem. Można byłoby przypuszczać, że agraryusze pobici na głowę i wystawieni pod pręgierz bezgranicznego sobkostwa, ustąpią z pola bitwy polemicznej, ukrywszy w dłonie twarz zarumienioną od wstydu. Panowie agraryusze jednakże, zataczając się od śmiechu, wołają: „Co nam tam wasi Brentanowie, Sombartowie i Calwerowie. Od kiedyż to logika rządzi światem? Wszak już nasz kochany Bismarck—niech mu ziemia pruska będzie lekką — wyrzekł w sposób genialny, że siła idzie przed prawem! Możecie sobie piętrzyć niebotyczne stosy broszur, książek i argumentów, niechaj miasta nadsyłają petycye protestujące, ile im się żywnie podoba, niechaj ludowe zebrania potępiają kampanię antytraktatową, a kobiety agitują z całej siły za tanim chlebem. Nas te rzeczy ani grzeją, ani chłodzą. Rząd będzie tańczył tak, jak my zagramy."

W tych rażących cynizmem słowach jest dużo, a nawet za wiele prawdy. Odłam agraryuszów reprezentuje dziś w Niemczech pierwszorzędną potęgę społeczną, przygniatającą Pelionem i Ossą swych wpływów zarówno rząd, jak i obozy polityczne. Początek tej potęgi sięga czasów zawarcia traktatu niemiecko-rosyjskiego w r. 1894. Bismarck, jakeśmy już wspomnieli, jako człek „genialny," załatwił się w r. 1879 bardzo prosto ze sprawą celną. Obłożył on, cuchnący potem, plebs daniną na korzyść magnatów rolnych i przemysłowych, za co ci przez głęboką wdzięczność zatwierdzili ryczałtowo wszelkie jego żądania finansowe, a nadto ze słowami *sub hoc signo vinces* wręczyli mu bicz praw wyjątkowych do ścigania wszystkich wrogów państwa, których w Niemczech było wówczas co niemiara. Tak trwały rzeczy do r. 1892. Aż tu zdarzył się wypadek nieprzewidziany. Rosya zgodziła się wpuszczać do siebie wyroby przemysłowe Niemiec tylko pod tym warunkiem, że jej artykuły rolne i materyały surowe będą także korzystały z możliwie wielkiej wolności handlu. Innemi słowy Niemcy miały do wyboru: albo podciąć w korzeniu swój przemysł wywozowy, albo pozbawić atmosfery cieplarnianej protekcyi cierpiącego na uwiąd rolnictwo. Caprivi bez namysłu zdecydował się na drugą połowę alternatywy i w tym celu oparł się krańcowej lewicy. Traktat rosyjsko-niemiecki dokonał tego przewrotu nietylko w praktyce handlowej rządu, ale jednocześnie i w jego polityce wewnętrznej. Agraryusze głosem Kasandry przepowiadali niechybny upadek Troi wobec tego, iż rząd, wydarłszy się z uścisków junkrów, jedynej prawidłowej podpory ładu i porządku, rzucił się w objęcia dzieci Belzebuba. Dla ratowania zaś zbłąkanego na manowce państwa, postanowili wstąpić na tory opozycyi oraz założyć „Związek rolników niemieckich." Związek ten w krótkim czasie stał się jedyną w swoim rodzaju instytucyą stowarzyszeniową. Po kilku latach liczył już przeszło 200 tysięcy członków najrozmaitszej rangi ekonomicznej, zaczynając od satrapów rolnych a kończąc na chłopach głodomorach. Związek akcyę swą rozpoczął przedewszystkiem od tego, że ogłosił ministra rolnictwa za infamisa. Dwór odpowiedział wykreśleniem matadorów ruchu z listy bywających na dworze. Odtąd rozpoczęła się zacięta walka pomiędzy rządem a agraryuszami, w której pierwszy ponosił jedną porażkę za drugą. Agraryusze domagali się, aby rząd wziął w swoje ręce handel zbożem, a giełdę wysadził w powietrze. Zwołano radę państwową, która odmówiła pierwszemu żądaniu, za to rozwiązała zupełnie giełdę zbożową, a dla handlu terminowego w innych towarach zaprowadzono bezmyślny „regestr terminowy," co zamiast hamować spekulacyę, zawiesił miecz Damoklesowy swawoli nad obrotami terminowymi. Rząd stworzył specyalne izby rolne, spuścił na potentatów złoty deszcz kredytu, udzielił wreszcie ulg podatkowych, lecz pomimo to nie zdołał udobruchać junkrów. Odmówili wręcz powiększenia marynarki, a kanału po dzień dzisiejszy nie zatwierdzili. Tymczasem potęga „Związku" rosła z każdym rokiem. Siecią agitacyi oplątał on całe Niemcy. Rocznie zwoływano na koszt „Związku" 8—9 tysięcy zebrań ludowych. Emisaryusze jego przenikali do zakątków, do których nigdy jeszcze nie zaglądał żaden mówca lub działacz polityczny. Chłop tak ciemny jak tabaka w rogu dowiadywał się pewnego dnia, że rolnika niemieckiego zrujnował traktat handlowy z Rosyą, że tak zwana konkurencya amerykańska jest to potworna legenda puszczona w świat przez Żydów i socyalistów, że wszystkiemu winna popierwsze giełda, a powtóre rząd, ponieważ patrzy przez palce na rozbój w biały dzień, a nadto zawarł tak zgubną dla Niemiec umowę handlową z Rosyą. Chłopi we wszystkich okolicach zawrzeli i oświadczyli, że prawdziwymi przyjaciółmi ludu są właśnie zacni agraryusze. Niechaj tylko nadejdą wybory. Rząd zaczął kapitulować. Wyproszono grzecznie z ministeryum stanu Capriviego, Böttichera, Marschalla, a wiecznie młody w swych metamorfozach Michel, który już jako gołowąsy młodzian organizował rewolucye chłopskie, nosił teraz tylko zielony melonik z piórkami i buty z wysokiemi cholewami, jako symbol „ostatniego słowa" swej mądrości życiowej. Co do kanclerza Hohenlohego, to, oczywiście, sędziwemu starcowi łatwiej było zwieszać swą głowę na dół, niż zadzierać ją bardo do góry. Potakiwał przeto jak figurka chińska wszystkim pretensyom agraryuszów, tem bardziej że w sprawach państwa niemieckiego wszystko szło jak z płatka. Podatki napływały regularnie do skarbu, a romantyczno-maurytańskiego nastroju balów, festynów nie zakłócała ani jedna nuta niezadowolenia gości, zaproszonych przeważnie ze sfer junkierskich. Zresztą najbardziej lojalne stronnictwo centrum i narodowo-liberalni, widząc wzrost wpływu agraryuszów, przyjęli niemal w całości ich program, dzięki czemu uratowali część swych mandatów zagrożonych w okolicach rolniczych. Lecz oto nastąpił rok 1900 i przez skojarzenie idei przypomniano sobie, iż w r. 1904 upływa termin traktatu handlowego z Rosyą. Zapanowała panika. Co począć? Czy zgubić przemysł, pozbawiając go rynku rosyjskiego, czy też odnowić traktat na starych warunkach, ale zrazić do siebie potęgę agrarną.

Przedewszystkiem tedy potrzebny był mąż, coby łamał sobie głowę nad tą sprawą, gdyż staruszka Hohenlohego nie stać już było na to. Rola męża opatrznościowego przypadła w udziale słynnemu ministrowi kotylionu, „au ministre soleil" — Bülowowi. Już po tygodniu Bismark II stanął na wysokości sytuacyi, za przykładem swego pierwowzoru Hohenlohego, aby dać się portretować przez Lenbacha, który też odkrył natychmiast ową słynną zmarszczkę dobroci na czole Apollina urzędowego. Potem, posypały się eleganckie i uperfumowane grzeczności

---

Stanisław Wyspiański

WESELE.*)

Akt II.

Scena 7.

Stańczyk. Dziennikarz.

STAŃCZYK (idąc).
Ktoś się za mną włóczy wciąż.
(Siada).

DZIENNIKARZ.
Ktoś przede mną ciągle stąpa.

STAŃCZYK.
Domek mały, chata skąpa
. . . .
własne trwogi, zbrodnie, sny
własne brudy, podłość, kłam
znam, zanadto dobrze znam!

DZIENNIKARZ.
Zacz kto?

STAŃCZYK.
Błazen!

DZIENNIKARZ.
Wielki mąż!

STAŃCZYK.
Wielki, bo w błazeńskiej szacie,
wielki, bo wam z oczu zszedł,
błaznów coraz więcej macie,
niemal błazeńskie wiece.
Salve, bracie!

DZIENNIKARZ.
Ojcze, salve!
Szereg drobnych błaznów zszedł,
przywdziewamy szarą barwę,
. . . .
gasną coraz te pochodnie,
które do hajduków ręki
przywiązane żarem płoną.
Skapały, zżarły się świece,
a że do rąk przytroczone,
więc jeszcze palą się ręce.
Trzebaby . . . . . .
śmiechem i szyderstwem biegu
obudzić, ośmielić zdolne
. . . .

STAŃCZYK.
A wolicie spać?

DZIENNIKARZ
To jedno.
Usypiam duszę mą biedną
i usypiam brata mego,
wszystko jedno, wszystko jedno,
tyle złego, co dobrego
. . . .
Zostało serce, co woła
spłakane u bram kościoła,
skrwawione u wrót świątyni
i jeszcze w męce okrutnej,
w czułej litości rozrzutnej
samo siebie wini.

STAŃCZYK.
Acan jako spowiedź czyni,
spowiedź, widzę, cudzych grzechów,
acan się zalewa łzami,
duszę krwawi, serce krwawi —
ale znać z acana mowy,
że jest tak przeciętnie zdrowy—
jutro humor się naprawi!
Gotów mi płakać najrzewniej,
rozczulać się cudzych grzechów.
u bliskiego widzieć tramy
zbrodnie, brudy, grzechy, plamy
i za swojego bliskiego
uczynić publiczną spowiedź!
A doprawdy warto śmiechów.
może jeszcze rozgrzeszenie
wziąć kapłańskie z cudzych zbrodni!

DZIENNIKARZ.
Wina ojca idzie w syna,
niegodnych synowie niegodni,
ten przeklina, ów przeklina
. . . .
rozbrat wieczny duszy z ciałem,

*) Świeżo przedstawiono na scenie krakowskiej nowy dramat poety, którego sława rozbrzmiała szybko i silnie. Dzięki uprzejmości współpracowniczki naszej, p. Posner-Garfeinowej, pomieszczamy urywek, dający dokładniejsze wyobrażenie o charakterze utworu, niż sprawozdawczy opis. *Red.*

mowy, dające się sprowadzić do następującej formułki: „Bernard Piękny alias Bismarck II pogodzimy wszystkie trzy czynniki ustroju ekonomicznego: rolnictwo. przemysł i handel.“ Sejm rzeszy i sfery urzędowe po tym manifeście odetchnęły. Rzeczywiście co to za prosta acz godna geniusza myśl: wszystkich i wszystko pogodzić! Potem kanclerz raczył wyrzec swe słynne zdanie: „Przedewszystkiem nie życzę sobie żadnych kryzysów.“ Kamień spadł z serca wszystkim, a bale, maskarady i poświęcenia pomników wróciły znowu na porządek dzienny. Tym razem wszakże nastrój, a co ważniejsza styl romantyczny zabaw psuły nadąsane miny tetryków agrarnych. Jakto! Bulow baje o jakiemś wyrównaniu i uniwersalnem pogodzeniu wszystkich interesów, nic jednak nie powiedział wyraźnego o podwyżce ceł zbożowych. Niema co, Bülow mówi pięknie, ale wszystko to takie jakieś mgliste, niezdecydowane. Nie może być zatem mowy o zatwierdzeniu kanału lub nowych zbrojeń, dopóki rząd nie pokaże czarno na białem nowej taryfy „autonomicznej,“ tj. nietykalnej dla Rosyi. Bülow wygłosił wtedy nową mowę: tylko ten rząd — wołał kanclerz—czyni zadość swojim obowiązkom, który roztacza swą łaskę w jednakowej mierze na wszystkie sfery życia ekonomicznego. Rozpocznie on zatem od wzięcia w swą opiekę rolnictwa. Bülowowie z dziadów pradziadów byli rolnikami. sprzeniewierzyłby się zatem tradycyom swego wielkiego rodu, gdyby nie zezwolił na podwyżkę ceł zbożowych. Agraryusze tego samego dnia zaleli Eliseum i Club Royal, a nazajutrz nadeszła znana odpowiedź półurzędowa Rosyi w *Torgowo-promyszlennoj gazęcie.* W kilka dni później owe 62% ludności niemieckiej, które, jak wykazał ostatni spis urzędowy, mają mniej, niż 900 marek rocznego dochodu, powstały jak jeden mąż z okrzykiem: „Panem, panem, circenses pozostawiamy wam!“

Flectere si nequeo superos,
Acheronta movebo!

H. F.

Tydzień polityczny. Ostry zatarg w Tientsinie o stacyę drogi żelaznej między wojskiem rosyjskiem pod gen. Wogakiem a angielskiem pod gen. Barrowem, wskutek wdania się samych rządów i wzajemnej ich dla siebie względności załagodzony. Anglicy przeprosili za wykopanie trzech słupów. Roboty wstrzymano, wojska stoją spokojnie oko w oko. Waldersee dla parady, że bez niego nic stać się nie może, przyjechał na miejsce. Rozprawy w parlamencie ujawniły rokowania dla zawieszenia działań nieprzyjaznych i układy następne, obecnie toczące się, nie o samą tylko kolej, ale i o większe przedmioty. Zdaje się, że Anglicy chcieliby usadowić się spokojnie nad Jang-tse-kiangiem. Uczynią to do spółki z Niemcami. Posłowie radzą teraz nad tem, co już uradzili: nad fortami od Ta-ku, nawet nad fortyfikacyami w Pekinie.

Cesarz Wilhelm d. 22 b. m. przyjmował prezydyum sejmu pruskiego, p. Kraechera i jego pomocnika. Ubolewał przed nimi na zanik uczuć monarchicznych, spokojności i moralności w ludzie, z powodu zamachu w Bremie. Kraecher powtórzył słowa monarsze w Izbie. Richter dał wyjaśnienie wskazujące niezwykłość takiej relacyi, która stawia Izbę wprost przed nieodpowiedzialnym monarchą, bez pośrednictwa ministra.

Rokowania Bothy z Kitchenerem rozbiły się: Boer chciał zupełnej bezkarności dla Przylądkowców, Anglik sięgał po ich głowy. Schalk-Burger, zastępca Krügera, zrzeka się tylko stosunków zagranicznych; wszystko zresztą tak pozostać ma, jak jest. Oczywiście, będzie tak, jak chce Kitchener. Rząd angielski ujawnił warunki przezeń nakładane

W Wiedniu miał świetną mowę, *maiden-speech*, Michejda z Cieszyna. Jest hakatyzm i w Austryi, właśnie w Cieszynie. Podczas spisu statystycznego burmistrz Demel najczystszych Polaków, wszystką czeladź polską, kazał zapisywać jako Niemców. I zapisywano. Urzędownie też Polaków ubywa na Śląsku. Ordynarni fałszerze rozbijają się jeszcze w sejmie.

ŻYCIE SPOŁECZNE

KRONIKA POZNAŃSKA.

Polityka hakatyzmu.—Wołanie na trwogę.—Wzmocnienie ekonomiczne ludności polskiej jako wynik ucisku. — Kółka włościańskie. — Industryalizm Wschodu i protesty agraryuszów.

Pewne organy prasy niemieckiej usiłują oświetlić pole walki hakatyzmu z żywiołem polskim. W oświetleniu tem naród polski wychodzi jak olbrzym potężny, a Niemcy — jak nieszczęśliwy, uciskany karzełek. Stąd pobudka do wzmocnienia czujności i środków walki. Bardzo charakterystyczne artykuły w tej sprawie znajdujemy w dwóch pismach *Kolnische Volkszeitung* i *Alldeutsche Blätter.* Autorowie stoją na gruncie ekonomicznym i upatrują śród Polaków wielką zasobność materyalną, tudzież świetny postęp w gospodarce. Tradycyjne życie szlachty nad stan, ciężkie położenie rzemieślnika i chłopa polskiego — mają dziś już podobno należeć do przeszłości. Posłuchajmy, jak charakteryzuje obecne położenie ekonomiczne Polaków organ hakatystów, *Alldeutsche Blatter*: „W walce Polaków z niemczyzną zdumiewają nas przedewszystkiem wielkie środki pieniężne, którymi rozporządzają nasi przeciwnicy. W opinii naszej Polacy zwykle słynęli jako naród bankrutów, który zjadając niebacznie ojcowiznę, miał się wkrótce wyzuć z ziemi. Wbrew takiemu mniemaniu, spostrzegamy śród nich potężny rozwój gospodarczy, który nas tylko zawstydza. Pracują oni pomyślnie, dzięki znacznemu wzrostowi kapitałów. Śmiało powiedzieć można, że dziś Polacy formalnie pływają w pieniądzach i nawet dzięki obfitości gotowizny, niemało mają kłopotu z jej ulokowaniem. Tymczasem w nielicznych kasach pożyczkowych niemieckich panuje stały brak gotówki, skutkiem czego musimy często odmawiać pożyczek naszym klientom, nawet zagrożonym utratą ziemi.“

Organ hakatystów zadaje pytanie: skąd pochodzą te pieniądze? — i znajduje odpowiedź: Pochodzą one stąd, że jednolita wielka myśl ożywia ten naród. Pragnie on skupić swoje siły i dążyć do jednego celu: wzmocnienia się na polu ekonomicznem. „Myśl ta ożywia ich dawniej, niż sobie wyobrażamy. Zanim my, Niemcy, dowiedzieliśmy się, co znaczą kasy pożyczkowe, oni zdążyli już założyć mnóstwo tych instytucyj. Bez pomocy państwa nie dościgniemy już na tem polu naszych współzawodników.“

Autor wróży z tego zjawiska niechybną zagładę Niemcom na kresach wschodnich i okropnie rozpacza, nie mogąc znaleźć środków do zwalczenia rosnących z dniem każdym trudności. „Rolnikowi niemieckiemu, trapionemu przesileniem rolnictwa, są ofiarowywane najwyższe ceny za jego osadę, a jeżeli te warunki zachęcające nie skłonią go do sprzedaży, to będzie musiał

---

ciała z duszą —
w nim się słabi kruszą!
. . . .
jakaż nasza dzisiaj wola?
czarodziejska dłoń ogrodła
nasze pola!

STAŃCZYK.

Łzy ze źródła
„tyle żalów o nie swoje!“
a cóż tobie niepokoje
tych, co w grobach leżą:
myślisz, że się trupy odświeżą
strojem i nową odzieżą,
a ty z trupami pod rękę
będziesz szedł na ucztę-mękę
i jako potrawy żuł,
czem się tylko kiedyś kto truł?
wsączał w siebie i pił,
czem tylko kto gdzie gnił—
czy to ma być twoja krew?

DZIENNIKARZ.

Moja krew — moja krew—
Czy ja wiem? Okrzyk mew,
gdy gonią ponad skały,
okrzyk mew osmętniały,
żałośliwy, straszny —
gdy od brzegu odbiegły daleko—
a tu skrzydła rozchwiane do lotu—
nie pragną, nie pragną powrotu
i wiedzą, że tam, gdzie dążą,
wylądu szukać daremno;
przekleństwu swojemu wierne
lecą,—i nie śmią ustać,
aż krew do ust pocznie chlustać
ze znużenia—wtedy padną,
łzą nie pożegnane żadną—
bo śmierć ulga, ulga zgon!

STAŃCZYK.

Zaśpiewałeś kruczy ton
tobież tylko dzwoni w głuszy
pogrzebowych jęków dzwon?..
A słyszał-żeś kiedy z wieży,
jak dźwięczy i śpiewa On?
. . . .
Siedziałem u królewskich stóp,
królewski za mną dwór,
synaczek i kilku cór,
włoszka—a wielki chór
kleru zawodził hymny —
a dzwon wschodził.
Patrzali wszyscy w górę
a dzwon wschodził.
Zawisnął u szczytów
i z wyżyn się rozdzwonił,
głos leciał, polatał,
kołysał się górnie
wysoko, podchmurnie,
a tłum się wielki pokłonił;
pojrzałem na króla
a król się zapłonił —
dzwon dzwonił.

DZIENNIKARZ.

A toć on nam tętni dziś,
jak grzebiemy, kto nam drogi,
zwołuje nas, każąc iść
posłuchać kościelnych szumów
w wielkim zamęcie rozumów,
w wielkim modlitew rozjęku
On, pan . . . .
nieustający w brzęku,
o pękniętem sercu
. . Nad przepaścią stoję
i nie znam, gdzie drogi moje!

STAŃCZYK.

Byś serce moje rozkroił,
nic w niem nie znajdziesz inszego
jako te niepokoje,
sromota, sromota, wstyd,
palący wstyd,
jakoweś Fata nas pędzą
w przepaść...

DZIENNIKARZ.

Ty Wid!

STAŃCZYK.

Ja Wstyd!
Piekło wiem gorsze, niż Dante,
piekło żywe!

DZIENNIKARZ.

Żyję w piekle!

STAŃCZYK.

Społem w przepaść!

DZIENNIKARZ.

Społeczeństwo
oto tortury najsroższe,
śmiech, błazeństwo
to my, duchy najuboższe—

ustąpić pod naciskiem wrogiego usposobienia sąsiadów. Kupiec niemiecki, skutkiem tajnego bojkotu tudzież wzrastającego współzawodnictwa, musi ulegać acz powolnej lecz niechybnej zagładzie. Niemiecki właściciel domu nie może się oprzeć (nieborak!) agentom, oblegającym go ze wszystkich stron i zachęcającym do sprzedaży majątku."

Gdy chodzi o nabycie niemieckiej posiadłości, Polakom nigdy nie brak pieniędzy. Nawet ci ludzie, którzy nie rozporządzają najmniejszymi kapitałami, nabywają jednak znaczne obszary ziemi. Na poparcie tego twierdzenia autor podaje przykład, iż niedawno dwu włościan polskich nabyło od Niemca znaczny majątek ziemski, oczywiście nie za własne pieniądze. „Półwiekowa praca systematyczna przy pomocy kas pożyczkowych znacznie wzmocniła grunt ekonomiczny Polaków. Dziś praca ta zyskuje bardzo silne poparcie w oszczędnościach robotników polskich. Całą gotówkę, uzbieraną skrzętnie i mozolnie, lokują oni w kasach pożyczkowych polskich." Autor oblicza, iż każdy ze 100,000 co najmniej robotników, opuszczających z zarobkiem terytorya niemieckie, składa 100 marek rocznie w kasie oszczędności, co czyni 10 milionów marek, przeznaczonych na „sprawę polską."

Co się robi dla Niemców? Pracuje dla nich komisya kolonizacyjna, rozporządzająca 200 milionami. „Pracuje wszakże tylko komisya, gdy tymczasem po stronie Polaków pracuje cały naród i czerpie zapał z owoców swej pracy. Położenie nasze nie polepszy się wcale — woła organ hakatystów — dopóki, nie oglądając się na rząd, sami się nie weźmiemy do obrony zagrożonej niemczyzny."

Nie wiem, co w tem wołaniu na trwogę Niemców „uciskanych" podziwiać: cynizm, czy bezczelność. Faktem jest, że Polacy w Poznańskiem wzmacniają się i organizują pod względem ekonomicznym i duchowym coraz bardziej, a bodźce do tej pracy czerpią — z ucisku i gwałtu hakatystów. Na to zjawisko znamienne zwraca uwagę także *Kolnische Volkszeitung* z powodu artykułu alarmującego w *Alldeutsche Blätter*.

Jednym z objawów wzmocnienia ekonomicznego jest rozwój kółek włościańskich w Poznańskiem. Oto jak charakteryzuje postęp na tem polu Maciej Malak, włościanin, prezes kółka żnińskiego: „Gdzieś dawniej widział na polach włościańskich odłogi, wymiękliska, kupy kamieni po polach porozrzucane, niezoraną i niezasianą ziemię, to dziś możesz zobaczyć dobrze uprawioną i urodzajną glebę. A gdy dawniej bydło włościańskie było takie, że prawie o swej mocy ustać nie mogło i nie dawało tyle mleka, aby zaspokoić niem było można potrzeby domowe i włościanie po części żywili się suchym chlebem, olejem, kapustą i kapuśnianką, to dzisiaj mają mleka tyle, że mogą sobie chleb masłem smarować i serem albo szynką obłożyć. Pomieszkania to włościanie dawniej takie mieli, że prawie razem z bydłem, dziś natomiast mają takie, że księdzu i panu miło się w nich zabawić. A cóż dopiero powiedzieć o naszem oświeceniu? W początkach siedzieli gospodarze jak malowani na zebraniach, nie śmieli nawet ust otworzyć, a dzisiaj, pewni swego zdania, śmiało głos zabierają w dyskusyi i już odczyty miewają, a kilkunastu wyszło na prezesów."

Istotnie, kółka włościańskie skupiają w sobie najdzielniejsze, najinteligentniejsze jednostki z ludu, które pracują nad uświadomieniem i zorganizowaniem ekonomicznem całych mas włościańskich. Kółka te są nadzwyczaj ruchliwe, urządzają wystawy, organizują zwiedzanie gospodarstw wzorowych, z czego czerpią wzory gospodarze mniej zasobni w doświadczenie i naukę. Obowiązkiem kółek między innemi jest także zakupywanie i dostarczanie członkom nawozów sztucznych. Praca tego rodzaju w kulturze gospodarstw włościańskich jest już dzisiaj bardzo widoczna. Racyonalny chów bydła i koni doszedł już dziś względnie do wysokiego poziomu. Gospodarka intensywna wzmogła się znacznie, zaczyna nawet zapanowywać specyalizacya, jak np. rozwój sadownictwa i pszczelnictwa. Nie obce włościanom są także wszelkie melioracye rolne.

Kółka włościańskie przyczyniły się również znacznie do podniesienia poziomu umysłowego śród ludu. Praca zrzeszona wywołała odporność na wszechwładnie panujący dawniej wyzysk lichwiarski. Dziś już lud może korzystać z taniego kredytu w instytucyach, opartych na solidarnej odpowiedzialności uczestników. Podniesienie poziomu oświaty i dobrobytu wyrugowywa coraz bardziej pijaństwo.

Wogóle, dzięki pracy zorganizowanej, lud dziś już stanowi masę odporną na germanizacyę i nawet poniekąd chroni inne stany od pocisków hakatyzmu, usiłującego zgnębić ekonomicznie i duchowo żywioł polski.

Jak dalece hakatyści są niewyczerpani w pomysłach i sposobach dążących do zgnębienia ludności polskiej, dowodzi nowy środek germanizacyi za pomocą... torfu! *National Ztg* zapewnia, iż próby industryalizacyi Wschodu, energicznie popierane przez najwyższe władze prowincyonalne, ożywią się na nowo, jeżeli na miejscu dadzą się wyzyskać bogactwa ziemne, niezbędne dla rozwoju początkującego jeszcze przemysłu. Obecnie przedstawiono naczelnemu prezesowi Prus Wschodnich, Wilhelmowi Bismarckowi, nowy sposób, ułatwiający wyzyskiwanie bogatych wschodnio-pruskich pokładów torfu na wyrób materyału opałowego, który ma odpowiadać nietylko potrzebom przemysłu, ale może także pod względem ceny współzawodniczyć skutecznie z węglem kamiennym. Podobno wynaleziono obecnie metodę, umożliwiającą dostarczanie tonny wybornego materyału opałowego po cenie 5 marek. Metoda ta, wynaleziona przez Norwegczyka, za pomocą ciśnienia i gorąca podobno doprowadza zawartość wody w torfie wschodnio-pruskim tylko do 5% (z 90%). Tym sposobem torf, jako materyał opałowy, ma zająć pośrednie miejsce pomiędzy dobrym węglem angielskim a antrycytem, przytem niewiele wytwarza dymu i popiołu.

Cieszą się hakatyści-teoretycy z tego wynalazku, ale ich towarzysze-praktycy niechętnie witają wszelkie zabiegi i zdobycze, mające na celu industryalizacyę Wschodu, gdyż rozwój przemysłu fabrycznego odciągnie wszystkie siły robotnicze od rolnictwa, które i tak już jest w ciężkiem położeniu z braku robotnika. Polityka hakatyzmu nie zawsze jest zharmonizowana z potrzebami tych, których bierze w obronę. Już niejednokrotnie agraryusze energicznie protestowali przeciwko środkom walki hakatystów. Obecnie zaś nowe zabiegi około industryalizacyi Wschodu wywołają znowu niezadowolenie ze strony rolników niemieckich.

—

„społem" to jest malowanka,
„społem" to duma panka,
„społem" to jest chłopskie „w pysk,"
„społem" to papuzia kochanka,
próżność, nadczłowieczeństwo
i przytem to maleństwo
serce pęknione, co krwawi!

STAŃCZYK.

Acan prawi
jako najwalniejsi gębacze,
odrósł od tych samych pni
z moich dni!

DZIENNIKARZ.

Wolałbym już stokroć razy
policzone dni,
niż ten bieg, bieg, pęd, gonitwa
ku przepaści, otchłani, zawrotom,
ach kresu, ach, kresu lotom!
Stacza się sercowa bitwa,
opadam coraz na głazy,
mrze na ustach modlitwa.
Ach kresu, ach, kresu lotom—
Niechaj się raz wszystko spali,
zetrze się, na proch się zsypie,
jak kolumny na gruz się rozwali
. . . .

STAŃCZYK.

Puszczyka!

DZIENNIKARZ.

. . . .
Sumienia, sumienia!
Już było tych prawd bez liku,
Dla nas—prawdy czy fraszki
. . . .
od talentów zawisły igraszki!

STAŃCZYK.

Puszczyku!
zgrałeś się przy zielonym stoliku,
czy z kobietami w gorączce
opętałeś duszę mdłością
i w tej samej momentu pałączce
oślep grasz we własne próchno,—
a gdy na nie wichry dmuchną,
rozleci się zgasłe próchno,
zamurują się otchłanie
i krzyk, i jęk, i wołanie
zda ci się błazeństwem duszy,
ktore nikogo nie skruszy,
które zeżre siebie samo.
A trzewia mu gniciem cuchną,—
znam ja, co jest serce targać
gwoździmi, co się w serce wbiły,
biczem własne smagać ciało,
pływać na zbrodnie, łżyć złej woli!—
Ale świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były.
Ale świętości nie szargać,
to boli!

DZIENNIKARZ.

Tragediante!

STAŃCZYK.

Commediante!
dla ciebie błazeńska laska.

DZIENNIKARZ.

Piastujesz ją, piastun stary,
znasz tylko status quo ante,
błazeństwo z tobą się zrosło!

STAŃCZYK.

Oto naści twoje wiosło!
Błądzący w obłędów powodzi
masz tu kaduceus swojski,
mąć nim wodę, mąć!

DZIENNIKARZ.

Fatum nas w obłędy wodzi
u rozstajnych dróg, zły Duch!
tu moje rozstajne drogi;
ty mój duch—zły, demon, szatan,
błazeństwem ja z tobą zbratan,
byłem ci duszą poswatan,
nim dusza stała się trup; —
a teraz mi pachnie grób,
nie chcę żadnych więcej prób,
na teraz mi pachnie grób,
czuję trąd...

STAŃCZYK.

naści rządź,
masz tu kaduceus swojski,
mąć nim wodę, mąć!

DZIENNIKARZ

Serce miałem kiedyś młode,
porwałeś mi serce młode,
wlałeś jad goryczy w krew,
nie widzę i nie widzę dróg,
zaćmił mi się Bóg.

LUDNOŚĆ POLSKA I POLSKI RUCH NA ŚLĄSKU PRUSKIM.

I.

Społeczeństwo nasze czyta i mówi coraz częściej o ruchu polskim na Śląsku, przyczem niejeden identyfikuje Śląsk austryacki czyli Księstwo Cieszyńskie ze Śląskiem pruskim czyli Śląskiem Górnym. Ostatnia nazwa, która się już ustaliła w piśmiennictwie naszem, pochodzi od administracyjnego podziału Śląska pruskiego jako prowincyi na Śląsk dolny, średni i górny czyli na regencyą lignicką, wrocławską i opolską.

Wyrazu „Śląsk Górny“ przywykliśmy używać przy określaniu powierzchni ziemi śląskiej, zamieszkanej przez ludność polską, co atoli nie zgadza się bynajmniej z danemi faktycznemi. A to z dwóch powodów. Właściwy Śląsk Górny jest wprawdzie w przeważnej części zajęty przez ludność narodowości polskiej, lecz obok Polaków po lewej stronie Odry w południowo-zachodniej części, w powiecie raciborskim mieszkają Morawianie, w powiecie głubczyckim (głąbczyckim) Morawianie i Niemcy, w zachodniej zaś części t. j. w powiatach prudnickim (prądnickim, Neustadt), niemodlińskim (Falkenberg), nyskim (Neisse) i grotkowskim (Grotkau), w pierwszych dwóch mniej więcej do połowy, w ostatnich na całym obszarze siedzą zniemczeni Polacy, którzy przepadli bezpowrotnie dla narodowości polskiej. Prócz Śląska Górnego częściowo polskim został jeszcze Śląsk średni, po prawym brzegu Odry, lecz tu niemczyzna nieubłaganym krokiem posuwa się coraz dalej ku wschodowi, tak że dziś żywioł polski znajduje się jeszcze tylko we wschodniej części powiatu brzeskiego (Brieg), oleśnickiego (Oels) i stramburskо-milickiego (Trachenberg — Militsch), w powiatach namysłowskim (Namslau) i sycowskim (Gross. Wartenberg).

Pod względem wyznaniowym Ślązacy polscy należą mniej więcej w $^{6}/_{7}$ częściach do katolickiego, w $^{1}/_{7}$ do ewangelickiego kościoła. W regencyi opolskiej ewangelicy mieszkają w południowo-wschodniej części powiatu pszczyńskiego (Pless), tam gdzie Śląsk pruski graniczy ze Śląskiem austryackim, i w powiecie kluczborskim (Kreuzburg), a więc w północno-wschodniej części tejże regencyi. Śląsk średni natomiast zamieszkuje ludność polska wyznania przeważnie ewangelickiego, tak że parafie katolickie, w ilości 28, tworzą jakby wysepki w jeziorze żywiołu ewangelickiego.

Ten pobieżnie naszkicowany obraz geograficzno-etnograficzno - wyznaniowy powinien nas przekonać, że nie wyrażamy się ściśle, mówiąc o Górnoślązakach jako o ludności polskiej na Śląsku pruskim. Dopuszczamy się błędu, który popełnia stale nieobeznany ze stosunkami śląskimi przeciętny mieszkaniec Królestwa, mieszając Śląsk austryacki i jego sprawy narodowo-społeczne ze sprawami Śląska pruskiego.

Z żalem wyznać trzeba, że Ślązacy na Śląsku średnim są na drodze do zupełnego zniemczenia; z Prusakami łączy ich wspólność wyznania, więc skazani są na utonięcie w paszczy smoka germańskiego. Przed 25 laty we Wrocławiu był jeszcze na targu osobny oddział, przeznaczony dla chłopów polskich z okolic tego miasta, przywożących swe płody rolne na sprzedaż; dziś już tu wszystko zniemczone. Żywioł niemiecki w ciągu tych 25 lat posunął się o trzy mile dalej na wschód; tylko nazwiska polskie wykoszlawione pisownią i brzmieniem niemieckiem i typy chłopa polskiego świadczą jeszcze o pochodzeniu słowiańskiem ludności włościańskiej z okolic Wrocławia.

Ponieważ nazwa Górnoślązaków, jako miano ludności polskiej na Śląsku pruskim utarła się w piśmiennictwie naszem, przeto i tu używać będziemy tego określenia z tego głównie względu, że ruch polski na Śląsku pruskim ogarnął dotąd tylko ludność na Śląsku Górnym, czyli w regencyi opolskiej.

Cały kilkowiekowy dorobek społeczny Ślązaków polega na tem, że zniemczyły się dobrowolnie wszystkie wyższe sfery społeczne. Od czasów św. Jadwigi, pobożnej i cnotliwej małżonki Henryka Brodatego, germanizatorki Śląska, która sprowadzała do kraju niemieckich kolonistów i rugowała ludność tubylczą, wypędzając ją z żyznych łanów w dzikie lasy i moczary — od tych czasów przemocą i gwałtem zniemczono, a później sprotestantyzowano Śląsk dolny i średni. Po przejściu Śląska pod panowanie Prusaków zaczęto wydzierać ludności śląskiej na Górnym Śląsku język ojczysty i tępić w niej wszelkie poczucie odrębności narodowościowej.

Chcąc przeto mówić o ruchu polskim na Śląsku, musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, jakiem było usposobienie ludu przed powstaniem tego ruchu, bo to umożliwi nam dopiero zrozumienie, toczącej się tam obecnie, walki.

Jest to faktem historycznym, że lud śląski do niedawna nie posiadał żadnych tradycyj narodowych, że przynajmniej 80% polskich Ślązaków nawet dziś ich nioma. Lud wiejski wskutek wiekowego odłączenia od pnia macierzystego zapomniał o dawnej swej przynależności politycznej tak do Polski, jak do Czech i Austryi. Jedynym zabytkiem rządów czeskich, który się przechował na Śląsku mniej więcej do połowy ubiegłego stulecia, był kościelny śpiew czeski, tylko dzięki energicznym wysiłkom kilku księży zastąpiono go śpiewem polskim. Lud śląski ma dziwne wyobrażenia co do podziału ludzi na narodowości. Ślązacy nie uznają pochodzenia narodowościowego, lecz tylko przynależność polityczną, tak że przeciętny Ślązak uważa Niemca, poddanego pruskiego za bliższego sobie niż rodaka, poddanego austryackiego lub rosyjskiego. Gdy w r. 1848 r. z okazyi rekolekcyj w Bytomiu ks. Antoniewicz odezwał się do zgromadzonych wiernych: „Ludu polski!“ — to wysłano do niego deputacyę, by Ślązakom nie ubliżał, nazywając ich „ludem polskim.“

Dziwne to zjawisko tłomaczyć sobie można jedynie brakiem wszelkich podstawowych pojęć o naturze zjawisk społeczno-politycznych. Zrodzony w ciężkiej niedoli materyalnej, walczący przez całe życie o kawałek razowego chleba, wyzyskiwany i dręczony bezustannie przez niemieckiego lub zniemczonego pana, lud śląski nie miał czasu zastanawiać się nad umysłowem życiem człowieka i nad sprawami społecznemi. Jedyną okrasę ciężkiej jego doli stanowi głęboko zakorzeniona religijność, tradycyjnie od wieków pielęgnowana, połączona częstokroć z wiarą w zabobony i różne sztuki djabelskie. Ta głęboka wiara jest jedyną nicią, wiążącą lud śląski z resztą społeczeństwa polskiego, bo gdyby jej nie było, Śląsk Górny dawno byłby się zniemczył, tak jak się zniemczył Śląsk Dolny i w znacznej już części Średni. Potrzeba zaspokojenia uczuć religijnych skłaniała dawniej i skłania dziś jeszcze katolicki lud śląski do gremialnych pielgrzymek na Jasną Górę i do Krakowa.

Od nauczających ich w rzeczach wiary lud śląski nie słyszał nigdy o swej przyna-

---

STAŃCZYK.

Fata pędzą, pędzą Fata,
Wielkość—Nicość—pusty dzwon,
serce strute —
uderzyłeś błazna ton,
moją nutę.
Kłam sercu, nikt nie zrozumie,
hasaj w tłumie!
masz tu, kaduceus, chwyć!
rządź!
Mąć nim wodę, mąć!
Na Wesele! na Wesele!
Idź!
Mąć tę — kadź,
serce truj, głowę trać!
Na Wesele! na Wesele!
Staj na czele!!!

Scena 9.

Poeta. Czarny Rycerz.

POETA.
Otwarła się toń,
upomina się o swoje, umarła
szumem, gwarnością, zawrotem
idzie ku nam z powrotem,
oto słyszę, woła:

RYCERZ (chwytając go za rękę).
Daj dłoń!

POETA.
Puszczaj!

RYCERZ.
Ty mój!

POETA.
Puszczaj!

RYCERZ.
Ty mój!

POETA.
Żelazem owita ręka,
żelazem zakryta skroń!

RYCERZ.
Zbieraj się, skrzydlaty ptaku,
nędzarzu, na koń, na koń!
przepadnie przekleństwo, męka!

POETA (cofa się).
Co mówisz okropne widziadło?
Na koń? Gdzie? Jak?
Żelazna twoja dzwoni szczęka,
żelazna więzi mnie ręka.

RYCERZ.
Na koń! Zbudź się, ty, żak!
Ty lecieć masz jako ptak!
Biorę w pętlę! (zarzuca pętlę).

POETA (pochylając się).
Na arkan mnie wiąże!

RYCERZ.
(ręka wyciągnięta nad głową poety, druga chwyta poetę za rękę).
Poznasz, ktom jest, gdy zaciążę!
ty więzień mój, mnie służ!—
biorę przemocą—ja—Moc.
Za mną, przede mną
ognia kurz —
po drogach, po których lecę,
drzewa się palą jak świece—
ciskają się błyskawice
jak lecę — Duch!
Wytężaj, wytężaj słuch!

POETA.
Puszczaj, przepadaj w noc!
O ręce, ręce martwieją!

RYCERZ.
Ty mój!

POETA.
Precz!

RYCERZ.
Słyszysz grom!
(Grzmot).

POETA.
Zatrząsnął się cały dom.

RYCERZ.
A czy wiesz, czem ty masz być,
o czem tobie marzyć, śnić?

POETA.
Sen—marzenie—mara—wid—

RYCERZ.
Jutro dzień—przededniem świt.
Wiesz ty, czem ty mogłeś być?

POETA.
Słowo — Widmo gończe —

RYCERZ,
Zwiastun!
(Od czasu do czasu wicher).

leżności do narodu polskiego, lecz mowa ojczysta wystarczyła, by w nim utrwalić bezwiedne przywiązanie do tego narodu, do polskich obyczajów i zwyczajów.

Tego samego systemu nauczania trzymano się także w domu. Księża śląscy po za opieką duchowną nie troszczyli się wcale o oświatę ludu, jak się to w pięćdziesięciu na sto wypadków i dziś jeszcze zdarza.

W takie wiadomości społeczne wyposażony lud śląski już w pierwszej połowie przeszłego stulecia dostał się w szpony szkoły niemieckiej, gdzie wskutek powszechnie w Prusach zaprowadzonego przymusu szkolnego wszczepiano w niego codziennie tradycye prusko-niemieckie, przerabiając go zwolna na Prusaka mówiącego po polsku.

Lud górnośląski tedy z pewnością byłby się zniemczył, gdyby nie był zaszalał huragan walki kulturalnej. W celu skuteczniejszej obrony zagrożonego przez rząd katolicyzmu, duchowieństwo zmieszało sprawę religii ze sprawą języka polskiego, co tem łatwiej mu przyszło, że w tym samym czasie zaprowadzono w górnośląskich szkołach ludowych wykład religii w języku niemieckim, a to właśnie wznieciło lub utrwaliło w ludzie przywiązanie do języka ojczystego i wyrobiło w nim poczucie *odrębności językowej*. Wybiła więc godzina ocknienia się polskich Ślązaków z wiekowego letargu.

Polski ruch ludowy na Śląsku pruskim rozbudziło przeto duchowieństwo katolickie, a pośrednio książę Bismarck. Duchowieństwo śląskie jest ojcem znienawidzonej teraz przez nie „agitacyi wielkopolskiej,“ aczkolwiek dla sprawiedliwości przyznać trzeba, że duchowieństwo, budząc ruch *językowy* obecnego polskiego ruchu *narodowego* nie miało na myśli.

Po zażegnaniu walki kulturalnej ruch ten z pewnością byłby upadł, bo księża, uratowawszy katolicyzm od zagłady, nie mieli potrzeby kruszyć z rządem kopij o sprawy świeckie, a do tego jeszcze polskie. Oni, jedyni dotychczas przywódcy ludu, z łatwością byliby wmówili w bezkrytyczne masy, że zniemczenie się będzie jedynem ich szczęściem doczesnem.

Tu atoli stawili im czoło redaktor *Katolika*, Karol Miarka i grupująca się około tego pisma garstka księży, którym do pomocy przybyły dzielne jednostki z W. Ks. Poznańskiego, jak ks. Radziejewski, Bronisław Koraszewski, Adam Napieralski, Jan Karol Maćkowski; wyrobili się także wśród Górnoślązaków dzielni szermierze, jak dr. Rostek i Józef Dombek. Te osoby ujęły ster ruchu śląskiego w swe ręce, przekształcając go zwolna, lecz z większą lub mniejszą świadomością z *ruchu językowego* na *ruch narodowy*.

Z tego wszystkiego wynika jasno, że polski ruch na Śląsku nie był objawem żywiołowym, wypływającym z czucia i woli ludu, lecz że wywołano go środkami agitacyjnymi. Jeszcze dziś trudno wyrwać obojętnych z uśpienia i poruszyć do oporu przeciwko nawałnicy germańskiej. A takich obojętnych jest jeszcze przynajmniej 80%.

Juranek.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

•

Słupy telegraficzne.

Czy przykładaliście kiedykolwiek ucho do słupa telegraficznego? Wydaje nam się spokojnym, niemym, a gdy zbliżymy się i posłuchamy — drży i huczy. Dzisiejsze społeczeństwo jest podobne do lasu słupów telegraficznych: na przeciągniętych pomiędzy nimi drutach przepływają ciągle prądy elektryczne, a z nimi wiadomości, zasady, myśli i uczucia, same zaś podpory, nie znając treści tych prądów, brzmią głucho, tylko pod wpływem ruchu powietrza uderzającego w ich napięte struny. Czemu one nie stoją martwe, nie milczą? Nie mogą.

Tylko ubóstwem wiedzy i tą ciemnością, w której my, biedne ćmy fruwamy, zabijamy się i spalamy w ogniach, wytłomaczyć można ten dziwny fakt, że ludzie daleko więcej myśleli i myślą nad tem, co jedni według drugich robić powinni, niż co każdy zrobić może. Wszyscy są ustawodawcami, kaznodziejami, sędziami, moralistami, a nikt nie chce być badaczem. Ty dziecko jesteś obowiązane lubieć marchew, kochać ciotkę, nauczyć się w ciągu dwu godzin koniugacyi francuskiej. Ty chłopcze jesteś obowiązany znać wszystkie wypadki stosowania trybu łączącego, nie cierpieć teatru i piwa, czytać z upodobaniem *Doświadczyńskiego* i nie latać do lasu. Ty panno jesteś obowiązana płakać, kiedy chcesz się śmiać, zblednąć, kiedy chcesz się zarumienić, grać gamy i pojąć za małżonka konkurenta z 3,000 rb. dochodu. Wy ludzie dojrzali jesteście obowiązani w egoizmie rozpalić miłość bliźniego, poezyę przerobić na przemysł, a sztukę poświęcić dla sztucznych nawozów. Daremnie te istoty „obowiązane“ krzyczą: nie mogę jeść marchwi, nie mogę zawładnąć trybem łączącym, nie mogę poświęcić się sztucznym nawozom. Nie skutkują ani usprawiedliwiania się, ani protesty. Nie możecie, ale musicie.

Do pewnego stopnia — błogosławiony ten mus. Gdyby nie on, często z człowieka wylazłaby dzika bestya, duszę jego poszarpałyby wichry, a społeczeństwo zamieniłoby się na kłąbki walczących z sobą ciał z zatopionymi wzajemnie zębami. Współżycie wymaga od każdego częściowej ofiary z jego swobody i samorządu, dając mu w zamian przyjemność i dobrodziejstwa harmonii. Ale ostatecznie i tu są granice, przeciągnięte po tych punktach, na których wola ludzka zatrzymuje się z oświadczeniem: nie mogę. Po za temi granicami mus jest gwałtem albo okrutnym, albo bezsilnym i śmiesznym.

Powiedziałem, że dzieci tegoczesnej epoki, jak słupy telegraficzne, drżą nawet wtedy, kiedy wyglądają nieruchomie. Radzimy lub rozkazujemy im: uspokójcie się. Odpowiadają: nie możemy. Oto na niebie pojawiła się nowa świetna gwiazda. Ponieważ wszakże jej światło biegło do nas kilkaset lat, więc prawdopodobnie ona już dawno zginęła, a my ją jeszcze widzimy. Czy to nie ciekawe? Czy nas nie powinien wzruszać ten tajemniczy gość, wynurzający się z głębin wszechświata i znikający w jego nieskończonym przestworze? — O, tak — potwierdzają słuchacze tego wykładu i zamiast w górę, patrzą na dół. — Ależ gwiazda, spójrzcie, nieznana gwiazda!— Oni na chwilę podnoszą wzrok i znowu go opuszczają. — Głupcy, nieuki, barbarzyńcy! — E, nie! Dla tych samych ludzi może przyjść taka chwila, w której będą trzymali oczy ciągle utkwione w konstelacyę Perseusza. Teraz nie mogą, bo ich uwagę pochłania np. bury motyl, składający jajka w pączki kwiatowe. A przytem, jeśli obliczymy ich puls i zmierzymy temperaturę, przekonamy się, że mają gorączkę, nieprawidłowe bicie serca, dreszcze

---

POETA (patrząc w rycerza).

Głos, jak marzeń moich piastun,
rycerz—widmo—urojenie
przyoblekło szatę żywą.

RYCERZ.

. . . .
Wracam do dom w noc szczęśliwą,
w noc ponurych wichrów łkań
niosę dań! . . . . .

POETA (dotykając zbroi rycerza).

Wracasz do dom, ze snów, z dali?

RYCERZ.

Z dali, hen, z zaświatów, prochów.
Przeszedłem ogień co pali,
przeszedłem zapady lochów,
ścigam, gonię,
moc roztrwonię
niosę dań! . . . .

POETA

W noc ponurych wichrów łkań
wstajesz z lochów, z prochów, skał?

RYCERZ.

Na głos mój ty będziesz drżał!
Grunwald, miecze, król Jagiełło!
Hojno się po zbrojach ciękło.
A wiotr wył, i dął, i wiał
stosy trupów, stosy ciał
. . . .
Tam to jest olbrzymów dzieło,
Witołd, Zawisza, Jagiełło.
Tam to jest!
Z pobojowiska
zbroica się w skibach przebłyska,
kopie, połamane groty,
drzewce, powbijane do ciał
z trupów zapora
z trupów wał!
rycerski zgotowiony stos
ofiarnical
Tam leć, tam chodź, tam leć!!!
Leć brać z tej zbrojowni zbroję,
kopię, miecz i szczyt
. . . .
przeparłem trumniska wieko,
czas, bym wstał! czas, bym wstał!

POETA (głowa na zbroi rycerza).

Łzy mnie pieką, łzy mnie pieką!
czemże bym ja tam być miał?

RYCERZ (ujmując go za głowę).

Niosę dań! . . . . .

POETA.

Dech twój zimny, dech grobowy!

RYCERZ.

Patrzaj w twarz, patrz mi w twarz,
Ślubuj duszę, duszę dasz!

POETA.

Za przyłbicą pustość, proch,
w oczach twoich czarny loch,
za przyłbicą noc!
Zbroja głuchym jękiem brzękła.

RYCERZ.

Patrzaj w twarz, patrzaj w twarz,
ty mnie znasz!

POETA.

Ktoś jest?

RYCERZ.

Moc.

POETA.

Przyłbicę wznieś.

RYCERZ.

Rękę daj!

POETA.

Duszę weź!

RYCERZ.

Patrz!

POETA.

(Odsłania przyłbicę: twarz umarłego człowieka, dawno pochowanego, nie szkielet).

Śmierć — noc!

(Rycerz cofa się ku drzwiom, Poeta z wyciągniętemi rękami idzie ku niemu).*

i inne skutki mocnego przeziębienia. W takiem usposobieniu trudno zajmować się astronomią.

Niezupełnie bywa tak, ale bywa bardzo podobnie. Zapamiętaliśmy z bliższej lub dalszej przeszłości pewne idee, zasady, reguły, które pragniemy podtrzymywać jako normy życia i myśli. Może one kiedyś były, a nawet jeszcze będą dobre i rozumne, ale w danym momencie nie mogą dopasować do siebie przekonań, uczuć i pragnień ludzkich. Tymczasem my tej operacyi chcemy dokonać koniecznie. Jest to błąd, który co najmniej mści się bezskutecznością usiłowań i sprawia, że najrozsądniejsze i najczulsze napomnienia, rady i wskazówki przebrzmiewają bez wpływu i echa, jak głosy na puszczy. Dla poważnego umysłu zagadnienie kierownictwa gromady ludzkiej nie powinno się przedstawiać pod postacią pytania: co dla społeczeństwa jest abstrakcyjnie pożytecznem, dobrem, pożądanem, ale: do jakich czynów dodatnich jest ono w danej chwili zdolnem? Rodzice mogą bardzo pragnąć, ażeby z ich syna rozwinął się Staszyc, ale cóż począć, jeśli z niego wyrośnie Słowacki? A jak jedno dziecko w rodzinie, podobnie wyrastają całe pokolenia z takiemi lub innemi uzdolnieniami, które często pozostają w zupełnej sprzeczności z wymaganiami ich ojców. Mająż ci ostatni je łamać, skręcać w przeciwną stronę? Czynią to bądź z wielkiem niepowodzeniem, bądź z wielką szkodą.

Nie śmiałbym i nie mógłbym tu podejmować szczegółowej analizy sił, upodobań i kierunków duchowych teraźniejszości nawet w małym zakresie naszego społeczeństwa. Zaznaczę tylko, że ono nie winno, jeśli nie chce lub nie może należycie spełnić pewnych, zresztą ważnych zadań i że przy wskazywaniu mu dróg więcej trzeba uwzględniać konieczność życia, niż logikę teoryi. Ludzie, będący w stanie jakichś pobudzeń i drgawek nerwowych, w stanie owych słupów telegraficznych, które powinny dźwigać na sobie druty, a one tymczasem buczą i pod wpływem drgnień wewnętrznych zmieniają swój skład i układ komórkowy, ludzie tacy nie mogą zachowywać się podobnie do rosnących dębów i sosen, z których owe słupy zostały wyciosane. Denerwacyę uznano za charakterystyczne znamię czasu na całym obszarze kultury; niewątpliwie jest ona zjawiskiem powszechnem i wybitnem, które również i nas ogarnęło. Nie mamy spokoju, równowagi, zimnej krwi, władzy nad swemi myślami — a o tem powinien pamiętać nietylko hygienista, ale także socyolog, wszelki doradca lub krytyk społeczny.

Grono ludzi bogatych przez wiele lat kołysało projekt założenia w Warszawie kąpieli ludowych. Gdzieindziej ci sami opiekunowie zebraliby w swojem kole potrzebną sumę i dawno zbudowaliby łaźnie. Tymczasem u nas wysyłają swego wychowańca na żebraninę po pismach, po koncertach i zabawach, ażeby sobie wypraszał grosiki. I rzecz dziwna, prawie niewiarogodna, liczny zastęp osób zamożnych i niemających czasu do stracenia, krząta się, biega, mozoli przez kilka tygodni, puszcza w ruch księżne, hrabiny, artystów po to, ażeby ukwestować za pośrednictwem koncertu 300 rubli! Gdyby ci usypywacze góry rodzącej mysz byli zdolni ocenić jej wartość w porównaniu z ogromem zabiegów; gdyby społeczeństwo było zdolne odczuć głęboko cel tego przedsięwzięcia, albo nie potrzeba byłoby usypywać góry, albo by ona urodziła co najmniej słonia.

Jak starą bajkę znamy wszyscy powtarzaną od paru lat opowieść o zbiorach polskich pieczęci Podczaszyńskiego, którego niezamożna rodzina wystawiła je na sprzedaż. Zbiór możliwie zupełny—8,000 sztuk—za 6,000 rubli!.. Jak objaśnia *Kuryer warszawski*, usiłowali dźwignąć ciężar tego strasznego wydatku: Dygasiński, dr. Benni, Henryk Sienkiewicz, wreszcie hrabia ordynat Krasiński, którzy stojąc bezsilni wobec tego pięknego zbioru, załamują ręce: „O, nieba, cudzoziemcy go nam wydrą, zapłacą... Jakże to byłoby dobrze zdobyć te cenne okazy dla naszych muzeów. Ale skąd wziąć 5,000 rubli." Naturalnie jeśli ani dr. Benni, ani Sienkiewicz, ani nawet hr. Krasiński nie wie, skąd wziąć 5,000 rb. na kupienie zbioru pieczęci polskich, to ja milion razy mniej wiedzieć mogę. Poprzestaję więc tylko na wyrażeniu przekonania, że gdyby orędownicy puścizny po Podczaszyńskim byli zdolni odczuć jej wartość i gdyby ogół posiadał odpowiednią dla niej wrażliwość, dawno już ucichłyby, odzywające się z powodu niej jęki. Pod ruchem tego wiatru my słupy telegraficzne nie drżymy. Wielka szkoda, ale trzeba się pogodzić z koniecznością.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

ODCZYTY.

Wrażliwość i ruch u roślin; Czucie i ruch.
Z. Wójcicki; Dr. E. Flatau.

Na całym obszarze świata roślinnego, począwszy od jednokomórkowych jego przedstawicieli aż do najwyżej uorganizowanych, spotykamy wrażliwość na podniety zewnętrzne i odpowiedź na nie w postaci ruchu.

Już w samej komórce roślinnej spostrzedz możemy przy pomocy mikroskopu ruchy protoplazmy odbywające się to w jednym kierunku, to w rozmaitych, nawet wręcz sobie przeciwnych (np., we włosku pokrzywy). Ziarenka chlorofilu pod wpływem promieni słonecznych zmieniają swe położenie, układając się równolegle do nich. Ruszają się również i jądra komórek, wędrując nawet poprzez małe otwory w otoczkach z jednej komórki do drugiej. Skupienia protoplazmatyczne czyli t. z. plazmodye, ulegając dodatniemu helio- i hydrotropizmowi, ciążą ku ciepłu i wilgoci. U roślin zarodnikowych widzimy ruchome zarodnie (zoospory); u wodorostów, mchów, widłaków i skrzypów ruch stanowi właściwość plemników czyli męskich komórek płciowych, które dzięki specyficznemu tropizmowi, kierują się ku komórkom jajowym, wydzielającym, jako przynętę, kwas jabłkowy (u paproci) lub cukier (u mchów). Dalej spostrzegamy ruchy całych grup komórkowych, jak np. u sinicy lub w nici trzęsidła. U wyższych roślin spotykamy dwa rodzaje ruchów: 1) powolne, raczej po skutkach swoich poznawalne i 2) szybkie, momentalne.

Do pierwszej kategoryi zaliczyć wypada t. z. sen roślin, czyli tulenie kielichów kwiatowych i liści. Ruch ten zależy również od wrażliwości na światło i ciepło, warunkującej nierównomierny wzrost rośliny a co za tem idzie rozchylanie lub tulenie kielicha kwiatowego. Wzrost łodyg objaśniamy geotropizmem w różnych jego odmianach (ujemny, dodatni, boczny). Przykłady ruchów szybkich dostarczają takie rośliny, jak kwiat berberysu (kwaśnica), mimoza i wszystkie owadożerne (muchołówka).

Znaczenie zjawiska ruchu u roślin nie jest jeszcze dostatecznie zbadane; poczęści służy ono prawdopodobnie, jako środek do zachowania gatunku (ruch plemników), lub jako oręż w walce o byt (sen roślin, ruchy owadożernych), o istnieniu świadomości u roślin nic dotąd nie wiemy.

Odczyt był w miarę popularny i doskonale wypowiedziany.

Te same zjawiska biologiczne czucia i ruchu w świecie zwierzęcym omawiał na następnym odczycie dr. Edward Flatau. Przewodnią myślą prelegenta było wykazanie tej zasadniczej prawdy, że ruchy, spostrzegane w świecie zwierzęcym, począwszy od jednokomórkowych pierwotniaków aż do najwyżej rozwiniętych kręgowców dają się sprowadzić do odruchów na działające na nie we wszechświecie rozmaitej natury podniety.

W pierwotniakach, których ustrój anatomiczny jest nader prosty, i odruchy są z natury rzeczy mało skomplikowane. W miarę posuwania się wyżej po drabinie ewolucyjnej, widzimy, jak pod wpływem bardziej złożonych warunków otoczenia różnicują się obwodowe narządy czucia, powstaje coraz to bardziej subtelny ustrój nerwowy, i jak odpowiednio do tego wzrasta również ilość odruchów, komplikuje się ich wzajemne oddziaływanie, potęguje się ich różnolitość i subtelność. Powstają w ten sposób u wyższych kręgowców nadzwyczaj złożone mechanizmy odruchowe, które są im niezbędnie potrzebnymi w ciężkiej walce o byt. Prelegent przytoczył szereg niezmiernie ciekawych doświadczeń Goltza, Schradera, Macha, polegających na usuwaniu półkul mózgowych u niektórych wyższych kręgowców i badaniu ich życia w tym stanie. Okazało się, że te wszystkie skomplikowane ruchy, które wydawać by się mogły świadomemi, t. j. zależnemi od najwyższych ośrodków znajdujących się w korze mózgowej, dają się sprowadzić do bardzo złożonych odruchów, gdyż zwierzęta, pozbawione mózgu, wykonywały je z tą samą sprawnością, jak i zupełnie normalne.

A jednak pies w doświadczeniu Goltza różnił się czemś od psa zdrowego: nie poznawał pana, nie bał się rózgi i t. d. Cóż to znaczy? Nie był on w stanie *kojarzyć* wrażeń świata zewnętrznego z innymi, utrwalonymi w korze mózgowej przez pamięć. Na podstawie tego rodzaju doświadczeń nauka przyszła do wniosku, że to niezbadane zjawisko, jakie nazywamy świadomością powstaje w świecie zwierzęcym tam, gdzie spostrzegamy pierwsze przejawy pamięci wraz z zdolnością kojarzenia otrzymywanych wrażeń czuciowych z uprzednio otrzymywanemi wrażeniami, względnie wyobrażeniami. Co do ruchów świadomych, różnią się one tem od odruchów, najbardziej nawet złożonych, że towarzyszą im sprawy psychiczne, że powstają one nie dzięki na razie działającej podniecie, a samoistnie, na skutek t. zw. impulsów ruchowych, opartych na pamięci kojarzeniowej.

Przy wykonywaniu każdego ruchu dowolnego, impuls ruchowy czyli wola działa, jakby iskra, która wyzwala energię ruchową, nagromadzoną w łańcuchu mechanizmów odruchowych. Pozostaje jednak zagadką, jak powstaje ów pierwszy impuls ruchowy.

Odczyt dr. F. dał nam zupełnie wyczerpujący obraz do tych wyników, do jakich doszły w omawianej kwestyi nauki ściśle i odznaczał się bogactwem danych faktycznych.

Dr. M. B.

NOTATKI NAUKOWE.

— Kraushar Aleksander: *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk* 1800—1832. Księga I, str. 407.

Najnowszą swą „monografię historyczną, na źródłach historycznych osnutą," poświęcił płodny i ruchliwy historyk dziejom Tow. Przyjaciół Nauk. Przepięknie wydana pod względem typograficznym, 105 rycinami przyozdobiona książka nie jest jednak monografią historyczną w umiejętnem znaczeniu tego wyrazu. Zastrzega to zresztą sam autor, mówiąc (str. 12), że „nie kusił się o skreślenie szczegółowej historyi T. P. N., historyi, któraby zgłębiła wszystkie jego prace, osądziła wartość dzieł pod jego opieką wydawanych, a przynajmniej rozpraw, ogłoszonych w jego „Rocznikach" i wykazała, w jakim stanie ono każdą naukę z osobna w Polsce zastało, w jakim ją po latach trzydziestu zostawiło" — taki mianowicie ideał zakreślił przyszłemu historykowi T. P. N. St. Tarnowski w „Historyi literatury polskiej" (t. IV, str. 39). Jeżeli ideał taki „przyświecał autorowi przy podjęciu niniejszego zadania, to wykonanie jego wobec ogromu odnalezionego materyału źródłowego okazało się niestety za tru-

dnem i siły jego przerastającem... Ograniczył się więc z konieczności do skromniejszej roli nie historyka, lecz *kronikarza* dziejów T. P. N. w tem przeświadczeniu, że odtworzenie całkowitej działalności instytucyi według osnowy protokółów jego posiedzeń, stanowić będzie z czasem nader pożyteczny materyał dla przyszłych historyków umysłowości polskiej z początków bieżącego stulecia.“

Dla pracy swej mógł autor korzystać z dwu pierwszorzędnej wartości źródeł: z Akt Tow. Przyj. Nauk, dotychczas niedostępnych, a dzięki upoważnieniu generał-gubernatora warszawskiego, ks. Imeretinskiego, autorowi ujawnionych; z akt archiwum tajnego berlińskiego nader ważnych a niewyzyskanych dotychczas w zakresie szkolnictwa pruskiego (1796—1806). Zakusy germanizacyjne udało się autorowi wyjaśnić dokładniej na podstawie raportów, reskryptów, a w szczególności sprawozdań z wizytacyi szkół podjętej (1802—1803). Rozdziały tej mianowicie karcie eksterminacyjnych Prus poświęcone, są najcenniejszą tomu całego ozdobą.

— Przed laty kilku zamieściła *Prawda* obszerne sprawozdanie o pracach folklorystycznych antologa angielskiego, G. L. Gomme'a. Obecnie więc ograniczyć się możemy do zaznaczenia, że najlepsza praca autora tego ukazała się w przekładzie polskim („Folklor w etnologii,“ przekład A. Bąkowskiej. Warszawa, str. 194). Powinna znaleźć się w rękach każdego czytelnika, zajmującego się etnologią i etnografią, obcą i krajową, każdego, kto w chwilach wolnych zajmuje się zbieraniem zwyczajów itd. Przekład bez zarzutu.

LITERATURA I SZTUKA.

Z DZIEJÓW KRYTYKI POLSKIEJ.

Julian Klaczko.

II.

Nie takiemi zapewne słowy, ale w takim niewątpliwie duchu robił Klaczko rachunek sumienia, gdy przechodził pod sztandar zachowawczy.

Dodać atoli zaraz winienem, że ówczesna zachowawczość hotelu Lambert, nie była taka, jak konserwatystów dzisiejszych: miała przed sobą szersze widnokręgi, a w sobie — więcej wyrozumiałości, i więcej serca. Katolicyzm jej nie przemieniał się w „pobożność babki kruchcianej,“ ani też w skamieniały ultramontanizm: cześć dla przeszłości nie rugowała myśli o udoskonaleniu dusz, i o polepszeniu bytu w przyszłości; co więcej godziła się z zasadniczemi ideami wielkiej rewolucyi francuskiej i w stosunkach wewnętrznych była gorliwą wyznawczynią myśli obdarowania chłopów własnością; w stosunkach zewnętrznych najdalszą się okazywała od biernej rezygnacyi.

Kiedy hotel Lambert w r. 1857 postanowił ożywić wegietujące pod sterem Feliksa Wrotnowskiego „Wiadomości polskie“, powołał do spółpracownictwa w nich Waleryana Kalinkę i Juliana Klaczkę. Pod tym kierunkiem wychodziły one przez 4 lata, i stały się jednym z najznakomitszych czasopism, jakie wykazać u nas możemy. Świetnością stylu, i ważnością poruszanych tematów celowały tu artykuły Klaczki, odbijane także osobno w kształcie broszur. Najważniejszymi z nich są: „Sztuka polska,“ „Krewni Korzeniowskiego,“ „Gladyatorowie Lenartowicza,“ „Katechizm nie-rycerski,“ „Odstępcy,“ „Korespondencya Mickiewicza.“ Ten ostatni najobszerniejszy wyszedł tylko osobno, ponieważ z początkiem r. 1861. „Wiadomości polskie“ musiałyby być zwinięte.

Oczywiście nie o rozbiór tych artykułów iść tu może, tylko o uwydatnienie, o ile się da stanowiska krytyka i sformułowanie główniejszych jego poglądów.

Przedewszystkiem podzielał on zdanie, że krytyka u nas długo jeszcze, bardzo długo musi kwestye czysto estetyczne na drugim pozostawiać planie, wysuwając na pierwszy — dążność utworu, jego wartość społeczną.

Myślał tak i pisał Klaczko nie z głębi własnego usposobienia, lecz ze względu na dobro ogółu, na okoliczności, wśród których przyszło mu zdanie swoje wypowiadać. „Niezupełnie nam obcą Arkadya-pisał — chociaż w niej ani naszej kolebki, ani praw obywatelstwa nie mamy, i nie bylibyśmy nigdy ślepi na farby tej cudownej tęczy, którą między niebem a ziemią, na znak przymierza, snuje ideał. Potężnemu urokowi wielkich dzieł mistrzów umiemy tak dobrze ulegać, jak szczytne zrozumieć ich powołanie, i boskie odgadywać źródło; a wiemy nadto, i doświadczyliśmy z roskoszą, że gdy wszędzie indziej drogi liść wprzód opadać musi, zanim nas owoc ucieszyć może, sztuka jedna, szczęśliwa i uszczęśliwiająca, kwiat i owoc nam podaje zarazem. *Gdybyśmy na osobiste nasze pociągi, a nie na publiczne uważali potrzeby*, i z naszych indywidualnych zamiłowań — jest to tak łatwem, i tak zwykłem w tych czasach — ogólne robili zasady, wtedyby obecni nasi przeciwnicy goręcszych może, niż teraz przypuścić zechcą, znaleźli w nas zwolenników własnej sprawy i przychodziłoby nam tylko serdecznie przyklaskiwać, gdzie teraz rozważnie przestrzegać musimy.“

Tak, był szczerym wielbicielem sztuki, ale uważał, że hasło sztuki dla sztuki jest nietylko niedorzecznym, lecz i zgubnym *dla nas* obłędem. Przedewszystkiem nie dla nas sztuki plastyczne (architektura, rzeźba, malarstwo). Bo najprzód, „świat ideału, jak świat rzeczywisty, ma swoje strefy i klimata, których ani dowolnie obierać, ani bezkarnie odmieniać nie można,“ a nasza strefa i nasz klimat nie sprzyjały i nie sprzyjają rozwinięciu sztuk innych, prócz muzyki, a głównie poezyi. „Sztuka plastyczna u nas zawsze tylko pozostanie krzewem egzotycznym, w cieplarni amatorstwa mozolnie pielęgnowanym i nie będzie ona nigdy pełnym soków i ziaren owocem, samorodnie dojrzewającym na drzewie naszego życia... Synowie północy, tylko w bogactwie myśli i ducha możemy znaleźć wynagrodzenie za nieodzowne nasze ubóstwo form i natury; Słowianie, jesteśmy, i możemy tylko być mistrzami Słowa!“

Powtóre, zamiłowanie i roskoszowanie się artystyczne miękczy charaktery, a nam potrzeba hartu ducha. Klaczkę i „Wiadomości polskie“ wogóle przerażał ówczesny szał artystyczny, szczególniej w Warszawie zagnieżdżony a przechodzący z literatury do życia.

W charakterystyce ówczesnego nastroju tyle jest uderzającego podobieństwa z chwilą dzisiejszą, że nie waham się tu podać uwag Klaczki, gdyż w nich, ze zmianą nazwisk, nie możemy dostrzedz rysow znamionujących obecne usposobienie „inteligentnego“ tłumu. Uderzenie pędzla lub smyczka wydobywa cały zdrój wodnistych wyrazów z piersi, która dla wielu innych, dla wielu świętych rzeczy twardą zostaje opoką; a malarstwo, rzeźbiarstwo, muzyka są niewyczerpanym przedmiotem gwarnych rozmów w salonach i cichych dumań w poddaszach. Młodzież nasza, która dawniej za granicą chciwie oblegała katedry sławnych profesorów lub trybuny wielkich mówców, teraz z sumienną wytrwałością przyzwoitą liczbę godzin przeziewa w Luwrze, leci zdyszana od jednej malarskiej pracowni do drugiej, nie opuszcza ni razu koncertu jakiegoś maestra, studyuje moralnie wszystkie techniczne termina dyletanckiego entuzyazmu, na myśl wystawy się ożywia i na samo wspomnienie o Alboni omdlewa; a *vedi Ristori poimori* jest dziś rycerskim hasłem każdej u nas pięknej duszy!! Mamy teraz literalnie nowego rodzaju mesyanizm—mesyanizm sztuki! Polska, zaręczają nam, do wyższej teraz wznosi się potęgi: Mickiewicz i autor „Irydiona“ wiek jej tylko przedstawiali młodzieńczy i malarze dopiero naród doprowadzą do *męskości*!!! Tamci, czytamy dosłownie, tworzyli tylko *poezyę słowa*; tym dopiero przeznaczono utworzyć *poezyę czynu*!!! Do jakiego przerażającego stopnia doszło to prawdziwe *delirium artisticum*, o tem się każden przekona, co choć pobieżnem rzuci okiem na obecne piśmiennictwo krajowe... Dzienniki nasze, warszawskie szczególniej, przepełnione są artykułami, rozprawami i korespondencyami o sztuce. Rzec można, że żadne *ut* piersiowe nie wyleci z jakiegobądź śpiewającego gardła na świecie, aby o tem natychmiast, wszem wobec i każdemu zosobna, nie donosiły nasze czasopisma. Wyjazdy, przyjazdy, najdrobniejsze stąpania braci Kątskich, braci Wieniawskich i *tutti quanti fratelli* są tam notowane z sumiennością i ścisłością, z jaką sam może tylko Monitor Pekiński zapisuje fakta i funkcye Syna Słońca. Każdą po warszawskim lub żytomierskim horyzoncie przemykającą się, a zazwyczaj już spadającą zagraniczną gwiazdę, muzykalną czy teatralną, poprzedza u nas wielki ogon piór gęsich, które ostrzą ciekawość i łechtają nerwy zapału. A cóż dopiero, gdy przychodzi powitać jakiś talent *rodzimy!* Jakaż to dziecinna, płocha wtenczas radość z *naszych* Petri, z *naszych* Tryben i *naszych* Dawisonów, w których powołaniu tyle polskiego, ile w ich imionach, z których np. ostatni, Dawison, jest w istocie najpierwszym może aktorem — niemieckim! Ale czyż i *naszym* nie pokazał się nawet ów Kiss tak sławny? Kiss jest wprawdzie nadwornym rzeźbiarzem w Berlinie; jako *narodowe* swe dzieła może wskazać posągi Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma III, i nigdy niezawodnie nie marzył o polskim indygenacie. Ale Kiss się urodził w Plessen, które po polsku podobno zwie się Pszczyną, a które leży w Górnym Szląsku; więc czytaliśmy ostatnimi czasy we wszystkich prawie pismach warszawskich artykuł o tym *rodaku-rzeźbiarzu*!!! Tak to w tych latach mszczą się Maurowie, i w ten to sposób bierzemy z Niemców odwet za wynaradawianie Wielkopolski.“

Potrzecie: dyletanckie lubowanie się w artyzmie wywarło nader szkodliwy wpływ na literaturę, nadwątliwszy naszą twórczość poetycką i nadawszy jej taki charakter, z którego ten chyba tylko się cieszyć i nad nim unosić potrafi, co już do żadnych wyższych ideałów, i do żadnych dzieł wielkich mistrzów wznosić się (!) nie jest w stanie.“ Klaczko zapatrzone w arcydzieła literatury powszechnej, i w potężne twory naszego romantyzmu, z przykrością widział obniżenie ideałów, zapomnienie wysokich lotów, rozwodnienie poetyckiego słowa w reakcyjnej dobie między r. 1850 a 1860. W tym względzie każdy, znający dokładniej literaturę owych czasów, będzie musiał przyznać mu słuszność. Charakterystyka owoczesnej twórczości poetyckiej należy do najcenniejszych przyczynków krytycznych, jakich Klaczko nam dostarczył; więc jej poznanie jest niezbędnem dla wyrobienia sobie pojęcia o jego stanowisku i poglądach.

Zobaczmy tedy, jak Klaczko wykazuje rozkładowy wpływ sztuki na literaturę. „Elementa — powiada — malarskie i muzykalne, które w należnych sobie sferach nic samoistnego dotąd nie stworzyły u nas, wygórowały natomiast przemożnie w na-

szej pięknej literaturze i podkopują coraz bardziej wszystkie jej prawdziwe podstawy. W miejscu poważnych gatunków dramatu i epiki, mamy teraz już tylko te dowolne i luźne, żadną estetyczną ni etyczną kategoryą nie objęte *obrazki, szkice, gawędy*, w których sama malowniczość, bez względu na moralne znaczenie i idealną wartość, jest tak jedynym motorem jak celem; a w liryce zapanowała prawie wyłącznie ta muzyczna nieokreśloność i pieszczoność, która dźwięcznym doborem słów i rymów napełnia ucho, ale i myśl zagłusza, łzami nie płacze, lecz *brzęka*, z ciągłego wzruszenia nigdy do ruchu i czynu nie przychodzi i w puch kwiatów, jak w bawełnę, obwija wszelką szorstkość ducha, która w Polsce same tylko widzi bławatki, a w chrześciaństwie same tylko cacka i bawi się nieustannie gramatycznemi zdrobniałościami, które mają być ludowemi, a w gruncie tylko zdradzają, że przedmiotami natchnienia są tylko ludzkie drobiazgi, że owe dyminutywa języka wyrażają to, co Shakespeare w jednem miejscu nazwał *dyminutywami natury*. Miękkość pędzla i tonów rozczynia w naszej literaturze wszelką poetyczną i moralną energię; nie względy ideału, ale potrzeby malowniczego efektu kierują wyborem przedmiotu i stanowiska, a przed prawami perspektywy ustępować nieraz muszą najwyższe prawa człowieka. Anegdota więcej waży od historycznej prawdy, koloryt więcej od rysunku, lokalne oświecenie więcej, niźli światło ducha. Zamiast kreślić figury, pisarze nasi układają draperye, zamiast stałych konturów dają stare kontusze, a w miejsce charakterów przedstawiają — same oryginały. Bo też tylko charakter może tworzyć charaktery; gdy tymczasem do uklejenia oryginała nie potrzeba nawet i oryginalności: wystarcza tu pewna artystyczna skrzętność, która umie zbierać i sztukować i z różnych stron zachwycone rysy w jeden skupić obrazek. Bo też trzeba mieć serce, aby patrzeć w serca; do zrozumienia kostiumów dość mieć zmysł dekoratora... Aby przedstawić nieświeskich Albeńczyków i opisywać naszych maniaków i zawadyaków z XVIII wieku, tak mało trzeba mieć wieszczego czucia ideału, jak obywatelskiego poczucia narodowych potrzeb, a wszelkie poczęcie tu tak jest bez miłości, jak i bez bólu rodzenie. Literatura nasza ma obecnie prawdziwą swoją *epokę saską* — czasy próżniactwa przy wielkiej hałaśliwości, czasy panegiryków przy zupełnym braku zasługi, czasy zadowolenia przy najsłuszniejszych powodach do upamiętania się i poprawy— i nie bez pewnej konieczności święci ona przedewszystkiem podobną epokę i w naszej historyi... W gawędach naszych i historycznych powieściach, zaleta długich wąsów okupuje prawie wszystkie niedostatki krótkiego rozumu, krzywość szabli prostuje wszelkie czyny wątpliwe, a kontusz dostatecznem jest pokryciem moralnej i estetycznej nagości bohaterów. Temu dziwnemu pociągowi przyszły dziwnie w pomoc nasze artystyczne zachcenia, niejedna obraza zdrowego rozsądku, zdrowego smaku i zdrowej moralności znalazła swoją ekskuzyę, swoją nawet apoteozę w obrazowości, w malowniczości przedmiotu, w rubaszności opisu. Fantazya artystyczna sympatycznie się tu spotkała z fantazyą szlachecką, moralny nierząd w naszych umysłach z politycznym nierządem w naszych dawnych instytucyach. Między obecną naszą twórczością bez celu a przeszłowiecznem naszem życiem bez myśli zachodzi rzeczywista współmierność — w podwójnem tego słowa znaczeniu; między hulaszczem pisaniem najnowszych autorów a hulaszczem działaniem tej szlachty, którą oni nam jako szczególnie sarmacką chcą przedstawić, a którą jednak już Pasek bardziej hierozolimską niż polską nazwał, jest stosunek równie opłakany jak naturalny; a węzeł łączący stanowi tu ten artyzm fałszywy, który z obojętnością dla treści goni tylko za ujętnością formy, który zamiast o wartość czynów, o wartość tonów się pyta, zamienia sumienia tylko swego się radzi kalejdoskopu, i zamiast podnosić chce tylko zabawić..."

(D. n.).

P. Chmielowski.

POEZYA I RYMY.

Leo Belmont: *Rymy i rytmy*. Wybór poezyi. 3 tomy. Warszawa, 1900

Rzadko chyba który pisarz okazał przyszłym swym krytykom tyle względów, co p. Leo-Belmont: w 3-tomowym zbiorze; znajdą tu oni co kart kilka apostrofę do siebie zwróconą. Autor widocznie nic nie baczy na „dumę twórcy" wobec „pośledniejszego poziomu wydawanych o nim sądów," jak tam ktoś się wyraża. Oczywiście, „twórca" pokaże niekiedy swe pazurki, lecz na ogół jest skromnym i rozsądnym, a z apostrof jego to przedewszystkiem z łatwością wyczytać się daje, iż chodzi mu bardzo o to, jakie głosy usłyszy o sobie i że z niepokojem ich wyczekuje. Z goryczą odzywa się w przedmowie, że „wytrzepać, schłostać, ściąć, porąbać" jest łatwiej, niż napisać krytykę pochwalną. Niepokój autora rozumiemy dobrze, lecz, zrzekając się skwapliwie prawa rąbania, chłostania itd.—cóż jednak możemy mu powiedzieć? Że jest poetą? Że obrazami swymi olśnił lub przynajmniej ujął nas, że uczucia w nas głębsze poruszył, pobudził myśl? Nie odważymy się na to. Posiada on widocznie wielką łatwość wierszowania, rytm jego jest płynny, niejeden żarcik uda mu się ułożyć zręcznie, tu i owdzie zabrzmi szczera nuta, tam zalśni na chwilkę niby promień, przedzierający się przez chmury. Tylko... zdarza się to niezbyt często, i wreszcie nic nad poziom wysoko nie wystrzela, choćby przez jedno mgnienie.

„Rymy i rytmy" nazwano na karcie tytułowej — „wyborem poezyj," pomimo że jest to pierwszy zbiór utworów poetyckich p. L. B., i pomimo, iż drobna tylko część ich była w pismach drukowana; tytuł więc podaje jeno do wiadomości powszechnej, że oprócz wydanych na światło dzienne, w tece autorskiej ukrywa się wiele innych rymów; chcąc zaś, by jego spowiedź poetycka była o ile można dokładna, p. L. B. nie wahał się umieścić w „Wyborze" nawet rzeczy mniejszej wartości z czasów młodzieńczych, o ile uważał je „za konieczne uzupełnienie duchowej fizyognomii autora." Urosły zatem tomy do objętości tak poważnej, iż gdyby miała je pod ręką panna Prakseda (w „Beniowskim"), biedny Słowacki poniósłby szwank niemały. Zdaje się jednak, że autor nieszczególną oddał sobie przysługę, bo udatniejsze wiersze giną w powodzi miernych lub zupełnie słabych, a zniechęcony czytelnik niełatwo da się nakłonić do odszukania tego, coby mu rzetelną przyjemność sprawić mogło. Dobre miał poeta natchnienie, przypuszczając, iż *wyboru* należałoby dokonać ściślej, szkoda tylko, że za nim nie poszedł. Nie wiem, jakie względy mogły go przynaglić do umieszczenia np. opisu jakiejś „Uroczej," która „niby ostrygi połknie drżące serca," a później „usta obetrze serwetą uśmiechu"? I czy wolno było przenosić do „Wyboru" takie wiersze z marginesu czytanej książki (choćby książką taką był „Don Juan"), jak oto ten: „*Zdrowo* się moja pociła koszula"!! Toż zgroza! Trudno się domyślać także, w jaki sposób uzupełniać mogą spowiedź poetycką wiersze albumowe lub ustępy: „Już od rana siadasz, dziewczę, i Szekspira czytasz w głos; jeszcze rączki nie umyte, rozczochrany jeszcze włos. Ucz się, dziewczę, ze Szekspira. mimo bardzo smutny los, lady Macbeth myje ręce, Desdemona czesze włos." Wierszyk bardzo zręczny, lecz czy i ten dostarcza jakiegoś rysu do wizerunku pisarza? Może, ale nie swą treścią, tylko faktem, iż go tu umieszczono. „Każdą duszę zbadać warto" — woła p. L. B., zapraszając czytelnika na zgotowaną przez się biesiadę — „każda dusza jest mistrzynią, każda dusza jest ciekawą." A w przedmowie tłomaczy: „dwu zupełnie podobnych indywidualności niema na świecie." Oj, co to, to nie. Nie każda dusza jest ciekawa, a co do odcieni indywidualnych... istnieją niewątpliwie, jeżeli mamy do czynienia z dwoma osobnikami. „Rymy i rytmy" napisał p. Leo Belmont, nie kto inny. Ale nie o to chodzi, lecz — czy różnice osobnicze są z tego lub owego względu o tyle *dla nas* wydatne, żeby rozmaitość przedmiotowa stała się również podmiotową, żeby zjawiska wyodrębniły się od siebie. Wchodząc w las, nie postrzegamy każdego drzewa po kolei, ani nie staramy się widzieć wśród niwy pojedynczych kłosów. P. L. B., rymujący ustępy z powieści Sienkiewicza, wie dobrze, jak jaskrawe ten pisarz umie malować sceny; lecz gdy ich jest za dużo, jak w „Potopie," już ich nie rozróżniamy pojedyńczo, już się one zlewają w tło... A cóż jeżeliby sceny owe z natury swej były niezbyt wyraźne? Otóż fizyognomię duchową autora ująć jest trudno. Nie dlatego, iżby była zbyt złożona i bogata, nie dlatego, że zbyt subtelna i umkliwa. Niegdyś poeta zdradził swą muzę. „Żenował mnie twój ubogi strój, drażniły słabo siły, raził klasycznej powagi brak, przeróżne wady raziły, bom cię chciał zaraz wprowadzić w świat,—a strach mi było krytyków" itd. Ale teraz w nudzie zdradzoną znowu ku sobie przywołuje, daje za wygraną z lotów podniebnych i stroju barwistego. „Przybądź tak biedna, jak byłaś wprzód, nie chcąc cię wlec już na bale... o wieńcach mi się nie marzy... jeżeli chcesz, *pończoszkę rób, ja będę włóczkę ci trzymał*... Wyjdziemy sobie każdego dnia, jak mąż ze żoną pod rękę, ja wezmę ciemny garnitur swój, ty weź swą skromną sukienkę. Będziem *na wszystko* patrzyli wraz, i słuchać wszystkiego będziem, a kiedy wrócim wieczorem znów, w moim pokoju zasiądziem. Ty dopomożesz pamięci mej,.ty mi użyczysz natchnienia, abym na papier przelewać mógł *wszystkie przechadzki wrażenia*, wzniosłe czy małe, — mniejsza o treść..." itd. przez sześć stron wlecze się wiersz po wierszu, pogadanka o osnowie zupełnie nikłej, bo przecież jest to *spowiedź ze wszystkich* wrażeń przechadzki, luźnie i w przypadkowej kolei z sobą powiązanych, spowiedź może szczera, lecz w ogólnym swym wyrazie dziwnie jednostajna i mało zajmująca. Jeszcze jeden rys zauważyć tu możemy, to jakąś tymczasowość treści. Wciąż wydaje się nam, że po słowach uprzedzających, rozpocznie się już naprawdę opowiadanie o różnych wrażeniach, na „przechadzce" doznanych; że po różnych „wstępnych tonach," wezwaniach do krytyki, po zapowiedziach, czem poezya p. L. B. nie jest i nie chce być, a czem jest i być chce, już wreszcie sama ona, spowiedź czy poezya, ukaże się przed nami, mniejsza już o to, w skromnej sukience, czy w szacie obazałej. Lecz jakoś nie widać i nie słychać. Poeta wciąż odbywa „przechadzki z muzą," nawija mu się przed oczy to i owo... i tyle. Obecność muzy zapewne dlatego jest dla poety mało przydatna, że głównem jej znamieniem jest nerwowość. Autor niechcący sam podał stałą jej charakterystykę, sądząc, że płynie tylko „na zmiennych falach nastroju." — „Lecz najgorzej w noc bezsenną; kręcę się po prześcieradle i do tego lub do tamtej komponuję list za-

jadle... Całą noc tak piszę stale! Nieraz z człekiem tak się skłócę, rzucę seryo głupstw miliony, rankiem bym na papier przelał, *lecz mam głowy ból szalony.*“ Zdaje się, iż rozpoznawanie przyczyn niemocy jest chybiony. Zasiadłszy do stolika, autor przekonałby się, iż list, wściekły w myśli i we śnie, na papierze byłby szeregiem frazesów luźnych, bez żadnej siły, wyrazistości i nawet sensu. Któż nie zna tych wpółsennych marzeń, kiedy nerwowe napięcie wyładowuje się w nieubłaganej na pozór logice, w potędze wymawianych słów, w tragizmie położenia, w niewidzianym przepychu dekoracyj. Lecz przy świetle dziennem wszystko się spłaszcza, kurczy, zniża i blednie i, co najważniejsze, rozsypuje się na pojedyncze ziarnka, i z wspaniałej budowy niewiele nawet gruzów zostaje. Nie znika tylko jeden łącznik między widziadłami oglądanemi we śnie niemal a topniejącem ich odbiciem — to bezład i dowolność skojarzeń. Nie stanowiąc organicznej, zamkniętej w sobie całości, do pewnego punktu ciążącej, rozwijają się one swobodnie w szereg nieskończony. I oto poezya p. B. skupia w sobie te rysy jakiejś bezcelowości ruchów, gorączkowego podniecenia, które mimo całej swej bezowocności daje jednak złudne przeświadczenie o ukrytej sile wewnętrznej, spotykamy wreszcie rys nikłości barw na tkaninie poetyckiej. Nikłość tę autor za zasługę sobie nawet poczytuje. „Nie uwielbiałem rymarskich wykrętów, nie gniotłem piersi wypieszczonym kształtem, mnogich barw brakło na mojej palecie... Czułem, myślałem, mówiłem poprostu.“ Ale prostota o miedzę graniczy z ubóstwem.

(D. n.).

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. A. Szczyńska: „Przekonana,“ str. 170 Petersb. Grendyszyński.

— St. Przybyszewski: „Na tym padole płaczu,“ z rysunkami St. Wyspiańskiego. Wende.

SZTUKA. Ange de Larsna: „Sztuka w Egipcie,“ przekład Sempołowskiego, str. 76 W. Okręt.

— Louis Gonse: „Sztuka japońska,“ z oryginału francuskiego opracował Bouffałł, str. 149. W. Okręt.

HYGIENA. Weigeld: „Jak się mamy żywić, czyli pożytek pokarmów,“ str. 32, c. 40 kop. Gebethner i Wolff.

FILOZOFIA. H. Struve: „Ruch etyczny nowszych czasów — jego dzieje i zasady,“ str. 40, c. 30 kop. Skł. gł. Wende.

MEDYCYNA. Dr. A. Wizel: „Stosunek psychologii do psychiatryi,“ studyum krytyczne, str. 35.

POEZYE

Wczoraj — dziś — jutro.

Dziś nie istnieje. Niema w życiu trwania,
W otchłań beze dna wszystko się przewala—
I tylko pamięć echem nam oddzwania
Wrażenia zjawisk, które zniosła fala
Dziś jest ułudą, jak w matematyce
Pojęcie punktu. Bo nim się utrwali
Istota faktu w duszy—nim nasycę
Świadomość moją tem, że jest coś. Z dali
Przepastnej, z za mgieł—tylko wspomnień siłą
Przybladłą wizyę oblicza wyłania
To, co mi męką lub zbawieniem było...
Lecz padło w otchłań... Niema w życiu trwania,
Jest tylko wczoraj, które już nie wróci
I jutro pełne pomroki i lęku —
I, gdy świadomość tego w nas się cuci,
Żal ciśnie duszę w ostrem jakiemś ręku,
Żeśmy oddali tyle chwil na marne,
Że ciskaliśmy i duszę i ciało
W szały bezmyślne i męty poczwarne,
Że wczoraj przeszło... że już spopielało ..
Że dziś jest złudą, a jutro nam może
Przyniesie tylko śmierć lub brudne chuci,
Że może drogą będzie nam bezdroże,
Że wczoraj zmarło, zmarło—i nie wróci!

Wiem, było coś, lecz zmarło już—
To wczoraj zniklo w głębi fali
I tylko smutek duszę pali
Wspomnieniem krasy zwiędłych róż.

A tam na drodze złoty kurz
Pod słońce tęczą gra opali.
To nowe dążą dnie, by w fali
Wszystko chłonących zginąć mórz.

Jutro już inne będą wonie,
Niebo zakrwawią inne zorze...
Nie wraca łupu swego morze

Nie wraca wczoraj, gdy zatonie .
Jutro już inne smutki sieje,
Inne sny rodzi i nadzieje.

Topiel.

W blaskach południa gra fala topieli
Nad zatopionym przed wiekami lasem,
Tak cicho w koło... Tylko zadrga czasem
Śmieszek z wód głębi i w słońcu się bieli

Pierś rusałczana lub perłami strzeli
Toń rozigrana, gdzie spienionym pasem
Znaczy swą drogę wodnik, gdy z hałasem
Rozgania karpie o złocistej skrzeli.

I znowu cisza swe skrzydła rozpina—
Fala zastyga i lśni jak zwierciadło
Nad leśnem siołem, co w tonie zapadło—

I tylko, kiedy wiatrem gięta trzcina
Szemrze, zda ci się, iż dzwoni pieśń z fali,
Którą w zalanem siole ongi grali

Stefan Wodziński.

SPRAWY [illegible]

SMIECIE.

Wielkie zbiorowiska ludzkie, jakiemi stają się milionowe miasta nowożytne, istnieć wogóle nie mogą bez szeroko obmyślonych, na naukowej podstawie opartych urządzeń, mających na celu przestrzeganie warunków sanitarnych. Jedną z kwestyi tego zakresu jest usuwanie odpadków gospodarstwa, śmieci, a kwestya ta dziś staje się palącą także dla Warszawy. Sądzimy przeto, że nie od rzeczy będzie poświęcić jej tych słów kilka.

O tem, że każde zbiorowisko ludzkie produkuje tego materyału ogromne ilości, świadczą owe znane w antropologii *Kjäkkenmäddiger*, nasypy kilkumetrowej wysokości i grubości, które utworzyły się z odpadków kuchennych mieszkańców Danii w okresie kamiennym. Schlieman, sławny archeolog niemiecki opowiada, że czyniąc poszukiwania na wzniesieniu Hissarlik, gdzie dotarł do śladów dawnej Troi, napotkał warstwę 16 metrów grubą, składającą się z pokładów odpadków domowych nagromadzonych przez liczne generacye. Geolog Süss opowiada, że Wiedeń stoi miejscami na gruncie, w którym uwarstwienia gruzów i odpadków domowych sięgają 30 do 34 stóp głębokości *).

*) Patrz: Professor Soyka „der Boden“ w *Handbuch der Hygiene und der Gewerbekronkheiten*, wydany przez Pettenkoffera i Ziemssen'a w Lipsku 1887 r. str. 21.

Nie ulega kwestyi, że i w gruncie, na którym wyrosła Warszawa, podobne uwarstwienia znaleść można.

— Ubiegłe pokolenia z niebezpieczeństwa, jakie stąd powstaje, nie zdawały sobie sprawy. Kwestya też była dla nich o tyle uproszczoną, że dopóki miasto nie było skanalizowane, znaczną część śmieci wrzucano do kloak i usuwano całą zawartość przez wywożenie. Przy zaprowadzeniu kanalizacyi, takie postępowanie staje się niemożliwem, ponieważ groziłoby zamuleniem kanałów. Pozostawało tedy jedynie wywożenie śmieci oddzielnie. Lecz tu powstaje natychmiast trudność, że rolnicy lub ogrodnicy nie mogą używać tych odpadków jako nawozu, gdyż zawierają one wprawdzie części nadające się do mierzwienia, ale znacznie jeszcze więcej takich, które zanieczyszczają niepotrzebnie grunta, jak: blacha, szkło i t. d. Pozostawało więc jedno tylko: Zwozić śmiecie na miejsca przedstawiające się, jako nieużytki w pobliżu miast, zapełnianie niemi dołów, wyrównywanie gruntów. Warszawa dotąd tak czyni, przyczem niektóre z takich śmiecisk znajdują się przerażająco blisko miasta, niemal pośród dzielnic zamieszkanych, np. tak zwane „glinianki“ za rogatką Jerozolimską.

— Niebezpieczeństwo stąd grożące jest oczywistem: Wytwarzamy sztucznie grunt zapełniony ciałami gnilnemi, zawierający obficie zarazki chorobotwórcze. Wprawdzie ziemia jest sama przez się doskonałym ciałem dezinfekcyjnym, o czem świadczy system irrygacyjny, przy którym zawartość kanałów zrasza obszerne pole, a przecież doświadczenie pokazało, że następuje tu szybkie zniszczenie wszystkich zarazków. Na polach irrygacyjnych pod Berlinem, zdaniem rzeczoznawców możnaby spokojnie wybudować sanatoryum. Co innego wszakże, gdy chodzi o tak olbrzymie ilości odpadków, w formie stałej. Tu o zniszczeniu ogromnej ilości materyałów gnilnych niema mowy. Powstają pokłady nader porowate, przepełnione powietrzem miazmatycznem, pokłady, które nie są w stanie działać jako filtry. Wraz z kurzem muszą się tu unosić na powierzchni zarazki chorobotwórcze; a nadomiar złego, wszelkiego rodzaju robactwo, wywożone wraz z odpadkami, rozłażąc się z tych śmiecisk, może roznosić zarazki chorobotwórcze. Domy wybudowane na takim gruncie — a takich domów mamy, choćby w Warszawie, już dziś sporo, muszą stać są siedliskami epidemii.

— Dla miast, nieposiadających wodociągów, powstaje jeszcze niebezpieczeństwo stąd, że woda z opadów atmosferycznych sączy się przez takie pokłady śmieci i może ewentualnie przedostawać się do studzien miejskich.

— Trzecie niebezpieczeństwo powstaje z prymitywnego zużytkowywania zmiotków przez „śmieciarzy“. Poszukując odpadków, nadających się do użytku, owi zbieracze rozgrzebują po podwórzach miejskich śmietniki, lub jak się dzieje np. w Paryżu, skrzynie ze śmieciami ustawiane przed domem na ulicy, zanim zostaną wywiezione. Przy takiem postępowaniu powstają oczywiście całe obłoki kurzu, które wraz z zawartemi bakteryami połykają mieszkańcy miast. Prócz tego zebrane w ten sposób materyały często podlegające gniciu—kości, szmaty papier, nagromadzają się, zanim zostaną wysłane do fabryk, w składach wewnątrz miasta. Powstają tu więc kompletne ogniska zarazy.

— O usuwaniu tych odpadków w sposób, w jaki usuwamy zawartość kanałów, t. j. przez wrzucanie do rzeki, nie może być mowy. Odchody z kanałów, obficie przepłukiwane wodą, dostają się do rzeki w stanie nader rozrzedzonym i wskutek tego w wodzie rzecznej już o mil kilka od wylotu kanału niema śladów zanieczysz-

czenia: wszystko uległo utlenieniu, zupełnemu rozkładowi w wodzie. Śmiecie zaś, jako ciała stałe ulegają bardzo powolnemu gniciu, a ponieważ chodzi tu o setki fur dziennie, utworzyłyby one wzdłuż brzegów i na mieliznach cuchnące i napływowe ławice, zatruwające powietrze.

Pozostaje więc jeden tylko środek—spalenie śmieci. Tego sposobu chwycono się tam, gdzie najpierw odczuto potrzebę uwolnienia się od tego balastu—w Anglii. Jednakże niebawem okazało się, że jest to środek względnie bardzo kosztowny i nie wszędzie dający się zastosować. Możność bowiem spalenia zależy od zawartości węgla w śmieciach. Zawierają go one więcej, niż zdawaćby by się mogło na pierwszy rzut oka. W piecach naszych i kuchniach bowiem, zawsze znaczna część węgla na pół tylko spalonego pada po przez ruszt i dostaje się do popielnika. W Hamburgu np. obliczono, że śmiecie zawierają w zimie blisko wagon węgla dziennie! Lecz ta zawartość zarówno ilościowo, jak jakościowo bywa rozmaitą. W miastach angielskich utrzymał się zwyczaj palenia węgla w otwartych kominkach, wobec czego w popiele pozostaje bardzo wiele węgla, a takie nieoszczędne palenie wyjaśnia się tylko taniością węgla w Anglii; prócz tego jest to węgiel wyborny. W Berlinie natomiast, gdzie palą w piecach „hermetycznych“ i używają znacznych ilości węgla brunatnego, zawartość węgla w śmieciach jest mniejszą. Jeszcze mniejszą jest w Monachium, gdzie palą przeważnie węgiel brunatny i w znacznych ilościach torf, przyczem zima jest tu krótszą. W Paryżu znów rozpowszechnienie kuchni gazowych działa w tymże kierunku. Chcąc przeto w miastach wskazanych palić śmiecie, trzebaby znacznej domieszki węgla, co spowodowałoby oczywiście koszta bardzo poważne.

Stąd więc powstały projekty zużytkowania śmieci w ten sposób, że najpierw wybiera się z nich przy pomocy odpowiednio urządzonych mechanizmów wszystkie materyały mające wartość; a więc kości, gałgany, papier, szkło, metaliczne części itd.: następnie sortuje się całą masę, i zużywa się część na wytworzenie nawozu sztucznego, resztę się spala. W ten sposób do spalenia pozostaje masa znacznie mniejsza i łatwiej palna. Energia cieplna wytworzona w ten sposób zostaje użytą do wprawienia w ruch maszyneryi zakładu, a nawet pozostaje jeszcze nadmiar tej energii, który może być użyty, np. do urządzenia centralnej stacyi elektrycznej. Przedewszystkiem zaś wartość materyałów wyciągniętych ze śmieci, pokrywa część przynajmniej transportu przy wywozie śmieci.

Z punktu widzenia ekonomicznego ten system jest zatem racyonalniejszy. Chodzi jednakże o to, czy jest zadawalniającym z punktu widzenia hygienicznego? Pozornie zdawaćby się bowiem mogło, że przy takiem zużytkowaniu, znów tworzymy ognisko zarazy w zakładzie, gdzie odbywa się sortowanie itd. Lecz obawy te są płonne. Odpadki nie nagromadzają się tu, lecz natychmiast po przybyciu do zakładu zostają przesiane, posortowane, w części spalone. Nagromadzone zaś materyały wartościowe — kości, papier — i t. p. albo mogą zostać natychmiast przerabiane dalej, albo muszą być bezwłocznie wywożone do odpowiednich fabryk. Co do robotników, to są oni oczywiście narażeni tu na pewne niebezpieczeństwo, lecz jest ono stokroć mniejsze, niż to, jakiemu ulegają zbieracze uliczni przy dotychczasowej manipulacyi, gdyż istnieje możność przeciwdziałania za pomocą odpowiedniej wentylacyi i zachowania wzorowej czystości. W każdym razie w Monachium i Budapeszcie, gdzie istnieją od lat kilku takie zakłady, nie było dotąd wypadków chorób zakaźnych w tych zakładach i władze sanitarne uważają środki bezpieczeństwa za wystarczające.

Oczywiście tak czy inaczej — czy przyjmuje się system spalania zupełnego, czy zużytkowania i spalenia częściowego — sprawa musi być jednolicie uorganizowaną. Albo miasto organizuje na swój koszt wywóz i usuwanie według tego lub innego systemu, albo też powierza to towarzystwu prywatnemu, ściągając w jednym jak i w drugim wypadku koszta wywozu z właścicieli domów. Koszta takie bowiem pozostaną zawsze, gdyż o pokryciu wydatków na wywóz z samej tylko wartości materyałów w odpadkach mowy być nie może. W Monachium np. koszta wywózki do kolei, która przewozi wozy z zawartością do zakładu przetwórczego (prywatnego) uczyniły dla miasta 361700 marek (przy 450000 mieszkańców i 12500 posesyi miejskich), a prócz tego miasto dopłaca jeszcze posiadaczom owego zakładu 16 marek od wagonu, co czyni około 200000 marek rocznie. Ponosi tedy miasto wydatku około ½ miliona marek, lecz obliczono, że gdyby właściciele wywozili własnym kosztem, to wydatek byłby daleko jeszcze większy, a niebezpieczeństwo tworzenia ognisk zarazy pozostawałoby nadal.

Dla Warszawy sprawa assenizacyi w tym kierunku staje się palącą, przeprowadzenie jej jest o tyle ułatwionem, że można posiłkować się doświadczeniem nabytem w innych miastach. Dla inicyatywy prywatnej stoi tu otworem nowe pole, a przedsiębiorcy mogliby oddać rzeczywistą usługę ogółowi. Ciekawi jesteśmy, czy tej inicyatywy starczy u naszych kapitalistów? *).

Dr. J. B. Marchlewski.

*) Wiadomo nam, że dla zużytkowania śmieci p. Jeziorański założył fabrykę pod Warszawą, nie wiemy tylko, czy i w jakiej mierze rozpoczęła ona działać. *Red.*

NA MARGINESIE.

Żydzi w poznańskiem. Żydzi, którzy w życiu publicznem W. K. Poznańskiego odgrywają znaczną rolę, dotknięci oświadczeniem ministra spraw zagranicznych, że przy obsadzaniu posad urzędowych, a zwłaszcza wymagających szczególniejszego zaufania, musi liczyć się z drażliwościami ludności chrześciańskiej, zwołali wielki wiec, na którym uchwalili zaprotestować przeciwko uszczupleniu praw, poruczonych im ustawami rzeszy i konstytucyą pruską. Korespondent *Rozwoju* przytacza mowę wypowiedzianą na wiecu przez p. Jaffe, osobistość bardzo wybitną wśród żydów poznańskich, z mowy tej ustęp podajemy. „Nie chcę mówić o krwi, przelewanej strumieniami przez żydów na wszystkich polach bitew. Zwrócę tylko uwagę na stanowisko, jakie my, żydzi, zajmujemy na pruskim wschodzie. Przed prawie tysiącem lat przodkowie nasi przed grozą prześladowań, przywędrowali z zachodu do Polski. Nigdy nie wyparli się sprawy niemieckiej, po niemiecku mówili, mówili niemczyzną swej frankońskiej i szwabskiej ojczyzny, kiedy ojcowie niejednego, co nas odsądza od niemczyzny, głęboko jeszcze tkwili w słowiańszczyźnie. A kiedy ten tu kraj przyłączono do Prus, wtedy to ojcowie nasi przyjęli na swoje barki wielką część kulturnego dzieła. Jeżeli miasta poznańskie stały się głównie warowniami niemczyzny, to właśnie ojcowie nasi spełnili w tym kierunku dobrą, a może najlepszą część pracy. Tysiącami polonizowali się chrześciańscy niemcy, lecz żaden żyd tego nie zrobił i nie zerwał związku swego z niemiecką kulturą. Nietylko więc stoimy na naszem prawie, ale stoimy też na szmacie ziemi, którą pomogliśmy zniemczyć, a na to dziś głównie kładziemy nacisk.“

„Quo vadis“ na scenie francuskiej. Korespondent paryski *Frankfurter Ztg* opowiada w tem piśmie o niesłychanej popularności romansu „Quo vadis w Paryżu.“ „Znajomość tego utworu — mówi on — jest tak konieczną dla bywających w towarzystwie, jak frak i biały krawat“. Na proszonych obiadach, w salonach w gabinetach męskich mówi się tylko o tej książce z tą różnicą, że mężczyzn interesuje strona pogańska powieści, a młodziutkie np. podlotki — chrześciańska. W „Quo Vadis przerobionem na scenę przez E. Moreau i wystawionem z wielką wspaniałością w teatrze Porte St. Martin, Petroniusz, którego Sienkiewicz przedstawił wyłącznie w charakterze dworaka „arbitra elegantiarum,“ jeszcze bardziej wysuwa się na plan główny, a jego idylla miłosna z Eunice jest istotną ozdobą tej sztuki, której inne epizody i postacie mniej szczęśliwie zostały wyzyskane. Neron np. przedstawiony jest jak śmieszny głupiec, który po to tylko ukazuje się na scenie, ażeby popełniać niegodziwości, błazeństwa lub być maryonetką w rękach Petroniusza, inne zaś osoby, nie wyłączając samego Petroniusza, żyją jedynie dzięki doskonałej grze artystów. Orgia nerońska niema wcale charakteru nerońskiego, a pożar Rzymu wygląda jak silnie płonąca zorza wieczorna.“

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. *Prawit. wiestn.* ogłasza Prawo nabywania przez włościan katolików ziemi w dziesięciu guberniach zachodnich ograniczono: przez nadanie gubernatorom prawa przy wydaniu świadectw z pozwoleniem na kupno określania w nich granic i rozmiarów działek, tak aby ogólna ilość ziemi, należąca do wszystkich nieoddzielonych członków rodziny nabywcy nie przewyższała 60-ciu dziesięcin. Lecz i ta norma dopuszcza się tylko, w szczególnie ważnych wypadkach.

—W ministeryum sprawiedliwości utworzono konferencyę pod przewodnictwem ministra Murawiewa, która ma rozstrzygnąć sprawę przyszłej organizacyi wyspy Sachalinu, jako miejsca ciężkich robót i osiedleń z jednej strony i jako miejsca zamieszkania obywateli wolnych — z drugiej strony. W konferencyi tej weźmie udział wezwany do Petersburga wojskowy generał-gubernator Sachalinu. Posiedzenia konferencyi zaczną się w końcu marca (*Now. wr.*)

—W *Praw. wiest.* ogłoszony został okólnik ministra spraw wewnętrznych departamentu policyi do gubernatorów, naczelników miast i oberpolicmajstrów, zawierający wskazówki co do środków dla zapobieżenia i powstrzymania zaburzeń ulicznych i przywrócenia porządku zakłóconego.

— Na zasadzie 2 części art. 42 ustawy związku wzajemnej pomocy pisarzy rosyjskich przy rosyjskiem Towarzystwie literackiem, naczelnik miasta Petersburga wydał rozporządzenie zamknięcia tego związku.

Wiadomości społeczne. Dziennik *Rossija* (17 marca) w artykule „Proletaryat wiejski w Polsce,“ mówiąc o opłakanem położeniu ludności bezrolnej w Królestwie Polskiem, nadmienia, że przy zarządzie generał-gubernatora warszawskiego powstała komisya, mająca się zająć obmyśleniem sposobów poprawienia bytu materyalnego tej ludności. „Tylko ludzie — pisze autor — mieszkający w Polsce i obserwujący jego stan, mają pojęcie, co to jest nędza rzeczywista, rzec można, regularna, masowa, a nie wypadkowa. Trzeba przedstawić sobie ludność, dla której nawet chleb jest zbytkiem, spotykanym tylko w wielkie święta. W inne dni zastępują go kartofle, w których przyrządzaniu chłop polski przejawia nadzwyczajną pomysłowość: kartofle gotowane, pieczone, smażone, kartofle w postaci kaszy, klusek, bułeczek itp.“ O Banku włościańskim mówi. „Właściwie włościanie bezrolni korzystać z usług Banku nie mogą. Tutaj mogłoby przynieść pożytek tylko utworzenie, na wzór Finlandyi, specyalnego kapitału, z którego dawałoby się pożyczki na kupno inwentarza. Istnieje nawet źródło tego funduszu w postaci kapitału, należącego do b. Banku polskiego.“

— Na świeżo odbytem zgromadzeniu „Rady ekonomicznej“ pruskiej (Landesoekonomie collegium) referował prof. Sering o położeniu ekonomicznem. „Tylko rolnictwo, nie zaś przemysł, może stworzyć widoki samodzielności gospodarczej. W przemyśle wielki w zastraszający sposób pożera drobny przemysł. Inaczej na wsi, gdyż wielka, średnia i dro-

bna własność może istnieć niezależnie od siebie. Można żywić nadzieję, że rolnictwo wyjdzie zwycięsko z walki o siłę roboczą. W Hanowerskiem przyjęła się zasada wydzierżawiania drobnych parcel. Właściciele zachowują sobie tylko to, co sami mogą zagospodarować. To samo istnieje w Westfalii i prowincyach nadreńskich. We wschodnich prowincyach rzeczy mają się inaczej. Włoście rentowe rozwijają się bardzo słabo. Podaż majątków niemieckich jest wciąż jeszcze bardzo silna, kupujących również nie brakuje, jednak komisya generalna, urządzająca te włości, pracuje tak wolno, że nie może pracy podołać. Właściciel ziemski, parcelujący majątek, szuka możliwie prędko zakończyć się dającego interesu. Tymczasem musi liczyć na swoje ryzyko, zająć się kolonizacyą, co pochłania pracę 3—4 lat. Że zaś zazwyczaj przystępuje do kolonizacyi z musu i nie może czekać, tedy musi odwołać się do pomocy kapitału prywatnego. Landbank berliński również przestał zajmować się drobną kolonizacyą wbrew zasadom, na których do życia powołana została. Właściwie jedna tylko pozostała we wschodnich prowincyach siła kolonizacyjna, a tą jest *polska kolonizacya*, czyli że cała działalność państwa, skierowana przeciwko polskiej własności ziemskiej, nie dała oczekiwanych rezultatów. Był wielki rozmach — wnet wszystko ugrzęzło

Dziurdziowie. Przed sądem w Płocku rozegrała się niedawno charakterystyczna dla naszych czasów sprawa, rzucająca posępne światło na stan oświaty ludu polskiego. Mąż i żona, zamożni i szanowani gospodarze z pod Sierpca, zostali skazani jedno na rok więzienia, drugie na rok rot aresztanckich za znęcanie się i bicie kobiety, która według ich mniemania rzuciła urok na ich syna. Chłopak umierał na suchoty, ale rodzice wierzyć temu nie chcieli i domagali się „odczynienia“ uroku — żądanie swoje popierając biciem.

Szkoły. *Petersb. Wied.* umieściły artykuł napisany przez jednego z profesorów, a wykazujący przyczyny nielicznego uczęszczania studentów na wykłady uniwersyteckie: 1) Młodzież wychodząca ze szkół średnich jest źle przygotowana do słuchania wykładów w uniwersytecie, a pod względem fizycznym zbyt słaba aby mogła pracować; 2) drugą przyczyną jest brak w wyższych zakładach naukowych utalentowanych i popularnych profesorów; 3) niedość starannie opracowane wykłady, do których profesorowie nie mają czasu się przygotować, gdyż muszą szukać zajęć dodatkowych, nie będąc dostatecznie wynagrodzeni.

— W polemice wywołanej artykułem profesora Kuźmin-Karawajewa, który wystąpił przeciwko nauczaniu historyi z podręczników Iłowajskiego *Now. wr.* zamieściło następującą wzmiankę: „Dzieło p. Iłowajskiego — czytamy w tem piśmie — już jest przestarzałe i częściowe poprawki nie mogą podnieść go do poziomu potrzeb teraźniejszych, bo nowe łaty nie robią tkaniny starej mocniejszą. O historyi wieków średnich Iłowajskiego prof. Forsten mówi co następuje: „Źle obmyślany plan, chaotyczność materyału zmieszanego z faktami podrzędnymi i staroświeckie poglądy robią książkę p. Iłowajskiego zupełnie niezdatną dla potrzeb gimnazyalnych. Podręcznik ten zupełnie nie jest zdatny dla naszych gimnazyów. Zdawałoby się, że ma na celu przekręcanie faktów, nie ich wyjaśnianie, zgodnie z prawdą historyczną.“

Odpowiedzi Redakcyi.

Studentowi B. Niewiele zrozumieliśmy i nie wydrukujemy.

Panu F. R. w Petersburgu. Książki tej nie wydamy. Główne zasady pozytywizmu były u nas popularyzowane w wielu artykułach i książkach.

Dr. F. D. Podobno myśl zaniechana. Szczegółowych objaśnień udzielić może p. Libicki, redaktor *Kuryera codziennego*, który tą sprawą się zajmował.

Pani S. K. w Monasterzyskach. Niech Pani zwróci się do autora. My za niego rozstrzygnąć nie możemy. W tej chwili niema go w Warszawie.

OFIARY.

Na kolonie letnie:

Pani P. W. z Kongresówki 120 koron.
Hanka i Jasiek Z. 5 rb.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym początkowe arkusze części drugiej p. t. „Wiek cudów“ Alfreda Russela Wallace'a, jako dalszy ciąg dzieła **Wiek XIX**.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Марта 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.